

Staram się, żeby moje życie nie było scenariuszem pisany przez innych. Jestem przekonana, że jeżeli człowiek nie żyje w zgodzie ze sobą, to żyje tylko częścią życia i co gorsza inni też mają z tego część.

Henryka Bochniarz

Jeden z sześćdziesięciu

Wszystkie teksty pochodzą z „Moich notatek”,
publikowanych na stronie www.bochniarz.pl

czwartek, 15 grudnia 2005 r.

Start w wyborach prezydenckich był dla mnie przede wszystkim wielkim wyzwaniem. Przez wiele lat starałam się trzymać z daleka od polityki. Doszłam jednak do wniosku, że może czas już wyjść ze świata środowisk biznesowych i zacząć mówić do szerszego grremium ludzi.

Wyniki wyborów utwierdziły mnie w przekonaniu, że trzeba to koniecznie robić. Podział Polski na miasto i wieś, zamożnych i biedniejszych, wschód i zachód jest bardzo niebezpieczny i w dużej mierze wynika właśnie z tego, że poszczególne grupy społeczne pozamykały się w swoich enklawach i nie zauważają, co jest za płotem. Nie zauważają potrzeby kompromisu. Kompromis to jedyna skuteczna metoda porozumiewania się. Ale wymaga cierpliwości, czasu, konsekwencji. Nie da się zmienić świadomości z soboty na niedzielę.

Od sześciu lat, odkąd mam dom na wsi, na Warmii, w popegeerowskim regionie, gdzie jest bardzo wysokie bezrobocie, opiekuję się miejscową szkołą, staram się rozmawiać z miejscowymi ludźmi i patrzę, jak się ta wieś zmienia. To nie jest tylko kwestia pieniędzy. To jest kwestia mentalności i tego, żeby ci ludzie nie czuli się odrzuceni. Gdyby było więcej inicjatyw edukacyjnych dla dzieci ze wsi, więcej kontaktów i rozmów, to myślę, że łatwiej byłoby się wszystkim porozumiewać.

Mój udział w wyborach uważam za słuszny. Miałam całkowitą świadomość, że jest wręcz niemożliwe, bym wygrała wybory, startując na cztery miesiące przed ich terminem, bez poparcia żadnej silnej partii. To, że prezydent mógłby być kobietą, też było nie do pomyślenia dla wielu ludzi. Ale ja lubię takie wyzwania, uważam, że trzeba łamać schematy.

Nie da się oczywiście niczego zrobić w pojedynkę. W tym, co robiłam i robię, ogromnym wsparciem jest dla mnie moja rodzina. Mam świetne relacje z mężem i dziećmi. Bardzo nad nimi pracuję i w nie inwestuję. To nie jest żaden przypadek, nie da się zadzwonić do bliskich raz w tygodniu i powiedzieć: proszę mnie kochać. Wiem, na jakim etapie są moje wnuki, jakich mają kolegów i koleżanki, i jaka jest najlepsza gra na Gameboy'u. Chcę, by uważali mnie za istotną część swojego życia. Te relacje są dla mnie bezpiecznikiem.

Staram się żyć tak, aby nie stawiać wszystkiego na jedną kartę: albo praca albo rodzina. Staram się moje życie jakoś zaplanować, choć wszystkiego zaplanować się nie da. Jeżeli mam problemy w pracy, a problemy są zawsze, to mam odskocznnię w rodzinie. Gdy w rodzinie są jakieś kłopoty, bo to się też zdarza, to mam inne sfery swojej działalności, które pokazują mi, że w danej chwili jednak coś mi wychodzi. Przywiązuję ogromną wagę do tego, aby ludzie się ze mną dobrze czuli i abym ja również się dobrze czuła z nimi. Nie chciałabym, by ktokolwiek przychodził do miejsca, gdzie pracuje ze mną, z poczuciem, że cierpi. Staram się, by w moim

życiu było jak najmniej zakłamania i pewnie często przysparza mi to wrogów. Strasznie boję się takich ludzi, których wszyscy lubią. Nie wierzę, że to może być autentyczne, poza oczywiście świętymi, bo tacy się zdarzają.

Staram się rzetelnie oceniać efekty mojej działalności. Wiem, że mam ludzi, z którymi pracuję i którzy pewnie poszliby za mną w ogień. Staram się zwracać uwagę na to, co dla nich jest ważne, myśleć o nich, o ich rodzinach. Nie traktuję ich jak ludzi, których wynajmuję i którym płacę. Generalnie bardzo lubię ludzi i mam do nich pozytywny stosunek, niezależnie od tego, ile osób zachowało się wobec mnie mało przyjaźnie. Może to jest naiwne, ale mnie z tą naiwnością dobrze. Uważam, że nie należy pielęgnować w sobie urazy, to jest strata czasu.

Dziś spotkaliśmy się w siedzibie Konfederacji przy choince i życzyliśmy sobie, by wszystkie nasze ważne sprawy znalazły pomyślne rozstrzygnięcie w nadchodzącym roku. W święta trzeba uwierzyć w siłę sprawczą życzeń.

22 grudnia, czwartek

Zbliża się Boże Narodzenie, świat na szczęście ubożeje w wydarzenia i człowiek w sposób niemal naturalny odizolowuje się od sfery zawodowej. Jeśli chodzi o święta, jesteśmy rodziną bardzo tradycyjną. Po pierwsze, jest to czas, kiedy rzeczywiście są wszyscy razem i nie ma od tego odstępstw. Po drugie, wszystko robimy i przygotowujemy sami. Nie wchodzi tu w grę żadne zamawianie potraw czy ich kupowanie. Na szczęście mam dzieci, również te „przyszywane” w postaci synowej i zięcia, które z radością mi pomagają. Wszystkie świetnie gotują, więc przygotowywanie się do świąt nie wiąże się dla mnie z żadnymi wielkimi zadaniami. Moja córka prowadzi całą listę przyrządzanych potraw i każdy z nas jest z nich skrupulatnie rozliczany. Córka zajmuje się też sałatkami bądź śledziami, syn natomiast specjalizuje się w rybach i zwykle przygotowuje jakąś na gorąco. Sama przygotowuję kompot, a zrobienie dobrego kompotu wcale nie jest proste, oraz prawdziwki w cieście. Potraw jest tyle, ile być powinno na polskim stole i wszystkie są tradycyjne.

Zazwyczaj wszyscy przyjeżdżają dużo wcześniej i wspólnie przygotowujemy odświętną oprawę. Mam duży dom, więc wszyscy po wigilii zostają na noc. Staram się też zaprosić na święta naszą dalszą rodzinę, tę, z którą widujemy się rzadziej. W ubiegłym roku było fantastycznie, gdyż z Toronto przyleciała ze swoimi dziećmi moja siostra.

W przeciwieństwie do wielu znajomych mi kobiet, nie mam odczucia, że gdy skończę zastawiać stół, nie jestem w stanie zamienić ze zmęczenia z nikim słowa. Nigdy po żadnych świątach nie czułam się przepracowana. Moja synowa, która jest architektem, przygotowuje co roku dekorację i zawsze z góry ustala jakiś kolor. Te kolory co roku się zmieniają. Do wybranego koloru musimy się dostosować. Jeśli więc powie, że w tym roku obowiązuje czerwono-złoty, to wszyscy muszą być podobnie ubrani. To są zasady i zwyczaje, bez których człowiek się gubi. Większość rodzin w Polsce nie ma za sobą długiej historii, a ich tradycje nie sięgają dziesiątek czy setek lat. Moja rodzina jest takim przykładem. Kiedy jeżdżę do swoich przyjaciół do Francji czy Szwajcarii, pokazują mi na przykład, że tu jest biblioteka dziadka, jego książki sprzed dwustu lat. To tworzy poczucie ciągłości, której nam niestety brakuje. Moi rodzice poza garstką zdjęć nie mieli nic, co dawałoby poczucie

ciągłości rodzinnej, przywiązania do korzeni. Staram się trochę to wszystko nadrobić. Nawet, jeśli zasady, które wprowadzam, mają dopiero piętnaście czy dwadzieścia lat, to już są i wiem, że moje dzieci czy wnuki będą je kontynuować. W Polsce tradycje są często lekceważone.

Staraliśmy się prezentować naszą kulturę świąt zagranicą, tam, gdzie mieszkaliśmy i dla wielu osób było to pierwsze zetknięcie z polską kulturą. Uczestniczyliśmy też w zwyczajach innych. Tradycja jest niewątpliwie bardzo ważna i współczuję ludziom, którzy mówią, że nie czują potrzeby, by ją podtrzymywać. Z drugiej strony, należy sobie zdawać sprawę, że to co dla nas może być najważniejsze, dla drugiej osoby wcale nie musi być ważne.

Kiedy wspominam święta z mojego domu rodzinnego, mam świadomość, że na pewno nie były aż tak wystawne jak teraz. Moi dziadkowie pilnowali przestrzegania tradycji z Wołynia, a więc na stole zawsze musiała być kutia. Było też mniej prezentów, ale mimo to święta nie były mniej szczęśliwe.

Czasami, gdy jest więcej pieniędzy, ginie to, co najważniejsze. Osobiście w święta jestem bardzo oszczędna, jeśli chodzi o prezenty - kiedy dostaje się ich dziesięć, to tracą na znaczeniu. Jeżeli daję prezenty, to głównie książki. Chyba, że akurat przed świętami jestem gdzieś za granicą, to kupuję coś miejscowego. Nigdy też nie kupuję prezentów w ostatniej chwili. I bardzo nie lubię praktycznych prezentów, nie lubię sama ich dostawać i nie lubię takich dawać innym.

Mnie samej jako prezent sprawiłyby przyjemność na pewno jakieś książki. Bardzo chętnie płyty. Święta to taki czas, kiedy wreszcie mogę sobie poczytać. Mam nadzieję, że w tym roku dostanę nagranie Blehacza. To wyjątkowo zdolny chłopak. Większość rodziny wie, co lubię i wokół tego stara się krążyć. A przy łamaniu się opłatkiem życzyć będę rodzinie i przyjaciołom tego, co często jest lekceważone, a tak naprawdę najważniejsze, czyli zdrowia. Wszystkie sprawy materialne lub duchowe pozostają nieistotne, gdy okazuje się, że tego zdrowia nie ma. Tego będę też życzyła i sobie.

31 grudnia, sobota

Cieszę się strasznie, bo przyleciała z Minneapolis Pani Profesor, która bardzo mną się zajmowała, kiedy miałam ogromny problem, żeby się zaadaptować w tej kompletnie innej rzeczywistości. Udało mi się ją wreszcie namówić, bo ona zawsze ma sto pięćdziesiąt obowiązków. Mąż przyleciał w wigilię, ona w Boże Narodzenie, a w drugie święto przyjechaliśmy wszyscy tradycyjnie do Zakopanego.

Dziś będzie nowa premiera Witkacego, co mnie cieszy, bo Andrzej Dziuk już od bardzo wielu lat nie zrobił w swoim teatrze żadnej z jego sztuk. Nie wiem, co wybrał, bo to zawsze jest niespodzianka. Ale wiem, że to będzie Witkacy. Wiem też, że „tłukł” swoich aktorów dni i noce, jak to on, bo wszystko przecież robią tam w wariackim tempie.

Mamy ze sobą dwie wnuczki, reszta jest oczywiście ciężko obrażona, ale z szóstką (bo Stasiek jest za mały, jeszcze Ania go karmi) boję się, że byśmy musieli pracować jak w przedszkolu, a jednak chcemy trochę odpocząć.

Przywiozłam z Londynu masę książek. Między innymi tamtejszy wielki hit, „Nieznana historię Mao Zedonga”.

W okresie między świętami a Nowym Rokiem jest taki czas, żeby z mijającego roku różne rzeczy sobie w głowie poukładać. Jeszcze nie ze wszystkim się uporałam. Mam już oczywiście jakieś przemyślenia, zmuszają do tego chociażby liczne wigilie. W Klubie 22 mamy taki zwyczaj, a to była już czternasta nasza wigilia, że każda z nas opowiada, co jej się zdarzyło w mijającym roku i co planuje w przyszłym. I to jest pasjonujące, bo z tego wyłania się też to, co kształtuje nasz kraj. Ja również starałam się zrobić swoje podsumowanie, ale jeszcze nie czas, żeby przeprowadzać dogłębną analizę.

To były ostatnie święta w Konstancinie, bo w połowie stycznia przeprowadzamy się do Warszawy. Już się nie mogę doczekać, nawet choinkę postawiłam w nowym mieszkaniu. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła na piechotę przyjść do pracy. Psu obiecałam, że będzie chodził ze mną, więc wreszcie pobędziemy ze sobą dłużej, gorzej będzie z kotami, zwłaszcza z Dominikiem, który chodzi po ogrodzie, więc na pewno będzie cierpiał. Boję się, że mu balkony nie wystarczą. Nie wiem jeszcze, jak to rozwiążemy. Mieszkanie jest bardzo wygodne i myślę, że wszyscy się będą cieszyć, no i do dzieci dużo bliżej. Czeka mnie parapetowa, urządzenie, a to jest wielka przyjemność i ból głowy oczywiście. Wybór wszystkiego jest taki, że naprawdę nie wiem, jak ludzie wybierają płytki z tysiąca wzorów w katalogu.

Urządzam mieszkanie właściwie w całości od nowa. To są jak gdyby dwa połączone mieszkania: jedno, w którym będzie moja mama (nie jest zachwycona, bo bardzo lubi Konstancin) tradycyjne, z wykorzystaniem tego, co mam; natomiast drugie, nasze, będzie w zupełnie innym stylu. To duża frajda urządzać się praktycznie od zera.

Cieszę się, bo dom w Konstancinie kupili bardzo fajni, młodzi ludzie, (mają dwójkę dzieci, chcą mieć jeszcze dwójkę), więc się nie martwię, że podrzucam sąsiadom kogoś niesympatycznego.

sobota, 7 stycznia 2006 r.

Jak już pisałam, okres między świętami a Nowym Rokiem, kiedy tradycyjnie jedziemy do Zakopanego, to jest czas, żeby sobie różne rzeczy w głowie poukładać. Więc i w tym roku, właściwie już w zeszłym, też zrobiłam swoje małe podsumowanie.

Sporo osób uważało, że ten nie rewelacyjny wynik wyborczy i ta kampania, połączona, co by nie mówić, z bardzo dużym wysiłkiem, bardzo się na mnie negatywnie odbije. Tak się nie stało i gdy sama się pytam, dlaczego, myślę o kilku przyczynach.

Po pierwsze, podchodziłam do całej tej sprawy bardzo racjonalnie. Oczywiście nie dało się uniknąć emocji, ale od początku wiedziałam, jakie są moje szanse. Na pewno wynik, który uzyskałam, jest gorszy od tego, jaki planowałam. Myślałam o 4-5%. To by mnie satysfakcjonowało, zważając na to, że późno wystartowałam, właściwie bez poparcia żadnej poważnej siły politycznej, będąc przedsiębiorcą, będąc kobietą. Wiedziałam mniej więcej czego się spodziewać i nie spotkało mnie jakieś wielkie rozczarowanie.

Nie uważałam też, że to jest najważniejsze wydarzenie w moim życiu. To było najważniejsze w tamtym czasie, wiele rzeczy, które normalnie bym robiła, musiały zostać odłożone. Ale nie zapomniałam, że mam rodzinę, przyjaciół, że jest klub, do którego chodzę ćwiczyć, że są książki itd. Wszystko było bardzo skondensowane, ale z zachowaniem równowagi, która jest kluczem do tego, żeby przez problemy, jakie życie niesie, przejść w miarę suchą nogą. I tutaj też to dało dobry efekt. Fizycznie i psychicznie nie byłam tak „nadwyrężona”, żebym następnego dnia po tej kampanii nie mogła dalej działać.

W kampanii nie szłam na żadne kompromisy z samą sobą. Nie było takiego przypadku, żebym mogła powiedzieć: gdyby nie ta kampania, tak bym na pewno tak się nie zachowała albo tego nie powiedziała. Mówiłam to, co mówiłam przedtem i co teraz mówię, tyle że do innej publiczności, innym językiem. I dlatego nie miałam kłopotów sama z sobą.

Od początku też mówiłam, że wracam do Konfederacji, że start w wyborach traktuję jako jakiś etap w swoim życiu. Wszystko oczywiście nie jest już takie, jak było. Ludzie się zmienili, ja się bardzo zmieniłam. Nie sływa to bez śladu. Człowiek nie wymazuje tego z pamięci, mówiąc, że nie było tych czterech miesięcy.

Myślę, że dużo lepiej potrafię teraz słuchać.

W Konfederacji zostałam w jakiś sposób rozpieszczona tym, że jestem z ludźmi, którzy tak samo myślą, dobrze się rozumieją. Kampania zmusiła mnie do uznania, że spora część społeczeństwa absolutnie nie zgadza się z moimi argumentami .

Sama jeszcze tak do końca nie wiem, co będę chciała robić. Sytuacja jest tak skomplikowana, tak nowa; trzeba poczekać, co się zdarzy, zarówno jeśli chodzi o układ partyjny, o to, jak będzie funkcjonowała prezydentura, jaka będzie przestrzeń dla aktywności troszkę większej niż Konfederacja. Udział w kampanii dał mi możliwość dotarcia do dużo szerszej publiczności. I będę starała się to robić, integrować różne środowiska – to dotyczy i młodych i kobiet, i przedsiębiorców – tych wszystkich ludzi, którzy chcą Polski nowoczesnej, otwartej, europejskiej.

niedziela, 15 stycznia

Kiedy w zeszłym roku wróciłam z pokampanijnego urlopu, po dwóch tygodniach pełnej laby, miałam trochę wrażenie powrotu z rajku na ziemię.

Mój mąż na początku śmiał się, że pewnie taniej byłoby pojechać po prostu na wieś do Bukwałdu, ponieważ przez trzy dni spałam po dwadzieścia godzin na dobę. Ale gdy oderwałam się od tego, co zostało za mną, to rzeczywiście widać było, jak mi potrzeba urlopu w innej rzeczywistości i dużej odległości od Polski.

Byłam już w wielu miejscach na świecie, ale Polinezja Francuska jest czymś zupełnie niewiarygodnym. Wyspy powulkaniczne trochę przypominają Hawaje, panuje tam fantastyczny klimat. Nie ma wilgotności, jest ciepło, ale nie tak, że człowiek pada.

Wyspy są ciągle mało znane, jest tam bardzo mało komercji, no może poza Bora Bora, gdzie było pierwsze lotnisko - Amerykanie mieli bazę w czasie wojny - i dokąd najszybciej przyszli turyści. W samym Papeete, stolicy Tahiti, lotnisko jest dopiero od dziesięciu lat, więc wszystko nie zostało jeszcze zabudowane jakimiś wielkimi hotelami i nie jest podporządkowane tylko i wyłącznie turystyce, choć jest to jedna z głównych dziedzin gospodarki, obok upraw wanilii i ananasów.

Na prywatnej wyspie, na której mieszkaliśmy, był tylko nasz hotelik, który ma bungalowy na wodzie, własne zejście do morza, prywatną rafę. Przez dwa tygodnie można w ogóle nie oglądać człowieka.

Dużo nurkowaliśmy. Tam są zupełnie inne rafy niż gdzie indziej, bardzo piękne, woda jest przejrzysta, wspaniałe widoki. Poza tym świetna kuchnia, połączenie francuskiej z miejscową, dość słodką, z bardzo dużą ilością owoców. Mnie to akurat bardzo odpowiadało. Nie jem mięsa, więc ryby, owoce morza, których nie widziałam w innych miejscach, wszystko znakomite.

Jeśli się chce, można oczywiście siedzieć tylko w hotelu i na plaży (na Tahiti jest czarny piasek wulkaniczny, natomiast na innych wyspach jest piękny biały piasek). Ponieważ my chcemy zawsze jak najwięcej zobaczyć, więc z wywieszonym językiem staraliśmy się i polecieć na różne wyspy, i popłynąć na różne wyspy, i jeździć na tych wyspach takimi jakby gazikami. Zwykle jest tam tylko jedna droga wzdłuż morza, a cała reszta jest kompletnie dzika.

No i cudowni ludzie, nie skomercjalizowani, nie zdemoralizowani, otwarci. Jeżeli ma się ochotę, to naprawdę można z nimi pogadać, mówią po francusku, bardzo dużo już po angielsku, więc nie ma kłopotu z komunikacją. Korzystają z tego, że są częścią francuskiego terytorium i w związku z tym bardzo dużo jeżdżą, mężczyźni służą w armii francuskiej, więc to wszystko sprzyja ich otwarciu.

Poza tym, jest to kraj o dosyć wysokim standardzie życia. Najczęściej w takich miejscach, gdzie jest piękna przyroda, jest też i dużo biedy, np. w Tajlandii. I mnie zawsze ten rozdźwięk między hotelowym luksusem i codziennością dookoła bardzo przeszkadza.

No i jest piekielnie bezpieczne. Zapomniałam już, że można przyjść na lotnisko i wsiąść do samolotu bez kontroli, bez żadnych bramek. Bezpiecznie jest tam wszędzie, nie ma nawet żadnych zwierząt wrogich człowiekowi, ani w morzu ani na lądzie. Kiedy przylecieliśmy na jedną z wysp późnym wieczorem, wylądowaliśmy na małym lotnisku, gdzie tylko latają takie kukuruźniki, stoimy w hali bagażowej, czekając na nasze bagaże, i nagle widzimy, że przez hol bagażowy coś zasuwa. Myślałam, że ktoś puścił robota, a to były wielkie kraby, które wpadły tam bez żadnych obaw i cała ich armia przewaliła się przez lotnisko. Ośłupieliśmy kompletnie. To samo w morzu. Pływaliśmy nawet z rekinami, które też są łagodne. Naprawdę to poczucie bezpieczeństwa jest fantastyczne.

Uprawiają wanilię, która rośnie dziko na drzewach, chociaż teraz powoli zakładają już plantacje. Ponieważ w lasach nie ma insektów, muszą drzewa zapylać. Mają z tym ogromny problem, to jest trudna praca, trzeba się przedzierać przez dżunglę, a młodzi ludzie nie chcą tak pracować. Dlatego tworzą plantacje, bo inaczej nie mieliby wanilii.

Tahiti, w ogóle Polinezja, słynie z czarnych pereł. W Papeete jest ich przepiękne muzeum. Chcieliśmy się wybrać na jakąś fermę pereł, a tu się okazuje, że to wszystko jest rodzinne: rodziny mają ileś tam wrzuconych do morza siatek i to wszystko. Pytałam: i nikt wam tego nie ukradnie? Kto ukradnie? Przecież tu jest mój wujek, tam moja ciocia...

To wszystko jest tam takie właśnie, taki raj, który już nie istnieje gdzie indziej, gdzie wszystko jest jakieś porwane, skomercjalizowane. Tak, to było naprawdę bardzo, bardzo piękne miejsce...

22 stycznia, niedziela

W Londynie odbywa się spotkanie prezydentów konfederacji pracodawców. Zawsze podczas prezydencji danego kraju tamtejsza konfederacja organizuje u siebie spotkanie. I wszyscy się strasznie ścigają! Ja nie wiem, co to będzie (chwała Bogu, że ja już tego nie będę organizować), jak przyjdzie nasza kolej.

W Londynie byliśmy na kolacji w Buckingham Palace, księżę Andrzej był naszym gospodarzem, a przygrywała nam, że tak powiem „do kotleta”, Orkiestra Filharmonii Londyńskiej. Obrady mieliśmy w najwyższym wieżowcu brytyjskim Canary Harf Tower (237 m), siedzibie centrum finansowego HSBC, zresztą też z udziałem księcia Andrzeja. Na kolejnej kolacji byliśmy w Reform Club, w londyńskim klubie liczącym sobie ponad sto siedemdziesiąt lat, dokąd mogą już przychodzić kobiety, ale którego członkami w dalszym ciągu mogą być tylko mężczyźni.

Przy okazji zobaczyłam zupełnie fantastyczne przedstawienie, jedno z najlepszych, jakie oglądałam w swoim życiu: „Jestem moją własną żoną”. Najpierw był tekst, dokładniej wywiad, przygotowany przez amerykańskiego dziennikarza, na podstawie którego powstała sztuka. To monodram opowiadający o autentycznej postaci, transwestycie, więc mężczyźnie czy kobiecie, która mieszkała w Berlinie. Starsza pani, która przeszła przez okres nazistowski, potem komunistyczny. Gra to jeden aktor, młody chłopak, który jest i tą bohaterką i dziennikarzem, przeprowadzającym z nią wywiad, i jeszcze kilkoma postaciami. Naprawdę, dawno nie widziałam czegoś tak fantastycznego, tak dobrze zagranego.

Byłam tam też na świetnej wystawie w Tate Modern Galery – „Dżungle w Paryżu” Henri Rousseau, przywiozłam zresztą piękny katalog. W starej fabryce, gdzie były kiedyś doki, powstało wielkie centrum i finansowe i kulturalne. I to wszystko bardzo konsekwentnie zaprojektowane i wykonane.

Zastanawiam się, kiedy Warszawa będzie miała taki strategiczny plan. A wystarczy spojrzeć na te fabryki, które są po drugiej stronie Wisły albo na Woli, ile jest świetnych miejsc. Problem polega na tym, że to nie jest podporządkowane żadnej całościowej koncepcji. Trudno o bardziej rynkowe miejsce jak Londyn, ale jednak tam wszystko podlega strategicznemu planowi i konsekwentnej realizacji. I nie ma mowy, żeby od tego były jakieś odstępstwa. To daje świetny efekt. Bo to jest bardzo fajna zabudowa, funkcjonalna, przyciągająca ludzi, oczywiście z restauracjami, kafejkami itd. itd. Warszawa jest tak strasznie chaotycznie zabudowana, choć jako miasto, niestety praktycznie zniwelowane przez wojnę, mogło stać się przykładem uporządkowanego układu. Nawet w okresie komunizmu tak tego nie zniszczono, bo choćby lata pięćdziesiąte, jak się popatrzy na zabudowę MDM, to jednak tam był jakiś porządek, zniszczony w okresie Gierka i teraz. Jak się tak pomyśli, jaka jest

linia tego miasta... Nie ma takiego czegoś. Gdzie jest śródmieście – nie wiadomo. Gdzie jest dzielnica teatrów – nikt tego nie wie. Powstają takie jakieś ulice... Na Foksal jest coś takiego, przy Placu Trzech Krzyży. Ale widać, że to wszystko jest przypadkowe, że za tym nie stoi żadne strategiczne myślenie. Szkoda. Bo to naprawdę daje potem lepsze szanse komercyjne, kiedy wiadomo, gdzie się wszystko dzieje, jest większa konkurencja, a to z kolei podnosi jakość. Po prostu Warszawie brakuje tego, co ma Londyn: że tam, gdy człowiek chce iść do teatru, to wie dokąd ma pójść, nawet jeśli jest tam po raz pierwszy w życiu.

Tak, Warszawa jest miastem, w którym jest wiele do zrobienia, ale w którym jest jednocześnie tyle możliwości. I nie służy jej obecny okres przejściowy. Dla każdej formy działalności, a dla życia takiego wielkiego miasta jak Warszawa szczególnie, jest istotne, żeby wiedzieć, kto tym zarządza i jakie ma kompetencje. I sytuacja, którą mamy w tej chwili, takiego jakby kompletnego zawieszenia, na dodatek jeszcze z groźbą, że decyzje dzisiaj podejmowane mogą być podważone, myślę, że jest w stanie sparaliżować każdy urząd.

To był fantastyczny pobyt, było rewelacyjnie, i jeszcze mogłam przy okazji jakieś zakupy świąteczne zrobić. A Londyn o tej porze jest przepiękny.

Po powrocie byłam oczywiście pytana o moje dalsze plany...

Umawiam się z Jackiem Santorskim na napisanie następnej książki. Ma być skierowana tym razem do mężczyzn i będzie się nazywać „Jak pracować z kobietą i nie zwariować”. To pierwsza nasza przymiarka, ale myślę, że tak zostanie, bo tytuł brzmi dość intrygująco, a to – wiadomo – ważne jest przy sprzedaży. Na pewno zabierze ze dwa, trzy miesiące.

Zresztą i bez tego naprawdę jest co robić. Będziemy przeprowadzać badania, różnego rodzaju: i pozycji Konfederacji, i wizerunku przedsiębiorców, tego wszystkiego, co mnie bardzo interesuje i z jakiego powodu w zeszłym roku wystartowałam. Zobaczymy, co one pokażą, na ile kampania coś zmieniła i zależnie od tego podejmiemy decyzje. Nie będę ich podejmować sama. Jest cała gromada ludzi, z którą spotkałam się w trakcie kampanii. Myślę, że wari są tego, żeby z nimi coś robić dalej. Zobaczymy, co to będzie. Nie mam jeszcze jednoznacznej odpowiedzi, ale myślę, że ona się gdzieś tam koło wiosny wykrystalizuje. Zobaczymy, czy będą wcześniej wybory, bo to też może przyspieszyć pewne decyzje. A propos książek... Nie, nie moich... Dużo czytam. Uwielbiam Szekspira, bo uważam, że cała wiedza o życiu, o człowieku, jest właśnie u niego. Właściwie potem wszystko jest już tylko powtarzanie. To zgroza, że „Hamleta” nie ma już dziś w obowiązkowej lekturze, jak również to, co się dzieje, jeśli chodzi o znajomość literatury. Wiele rzeczy można wyrzucić z programów, natomiast jest tak wielka wiedza w książkach... szkoda, że teraz tylko komputer, gry itd. Że dzieci są nieuczone czytania. One nie potrafią się nawet skupić. Ja swoim wnukom czytam bez przerwy. Ponieważ u mnie w domu nie ma telewizora (jest, ale w piwnicy, więc ktoś musi być wyjątkowo zawzięty, żeby oglądać TV), kiedy wnuki są u mnie, to zawsze im czytam. Teraz już mają taki nawyk, że same też czytają. Ale właśnie widzę, jak dzieci, które są głównie między telewizją i komputerem, nie potrafią piętnastu minut usiedzieć w skupieniu i słuchać. Są odzwyczajone od tego, żeby się wyciszyć i nie patrzeć tylko na kolejne ruchome obrazki. To jest okropne, ale niestety rodzice oddają wychowanie telewizorowi i komputerowi.

28 stycznia, sobota

Dawniej praktycznie wychodziłam z domu w pół do siódmej, siódma rano i wracałam w nocy. Teraz, po przeprowadzce, mam szansę i w ciągu dnia wpaść, zwłaszcza że tam do niedawna trzeba było jeszcze jakieś decyzje podejmować, a to gdzie obraz powiesić, a to zdecydować, czy jakiś mebel zostaje czy nie. Miałam straszną frajdę z tego urządzania. Niedawno Jurek Hausner przyszedł i mówi: słyszałem na mieście, że jesteś bardzo szczęśliwa. Ponieważ wszyscy opowiadają sobie złe wiadomości, więc chwala Bogu, że jest chociaż ta... Ale to prawda. Mam dwie godziny więcej życia, zamiast spędzać je w samochodzie, to mogę je spędzić chociażby z moimi zwierzętami.

Rozpakowując te wszystkie rzeczy, nie koncentrowałam się na tym, ile jest talerzyków, tylko przy okazji jeszcze coś tam załatwiałam. Oglądałam też troszkę więcej telewizji. Muszę powiedzieć, że jestem pełna podziwu dla tych, którzy ją oglądają, ponieważ wydaje mi się, że cały ten festiwal polityczny zwłaszcza (bo przede wszystkim programy informacyjne oglądałam, do seriali jeszcze nie dotarłam) to w gruncie rzeczy ciągle to samo. Codziennie są te same zadymy, te same osoby, z tymi chcemy rozmawiać albo nie. Po prostu mam takie wrażenie, że nic się nie posunęliśmy do przodu. Język może się zrobił bardziej agresywny. Są wprawdzie takie zmiany, że wczorajszy wróg nagle jest przyjacielem, Tusk, który był wrogiem, nagle okazuje się, że jest właśnie tym, który chce gadać, Rokita, który na początku był tą osobą, z którą można było porozmawiać, teraz jest wrogiem. Więc następują jakieś zmiany, ale w gruncie rzeczy chodzi ciągle o to samo: wszyscy latają za tym samym ogonem i już stracili chyba w ogóle rozeznanie, po co biegają. I żeby to czemuś służyło! To jest najgorsze, że te przepychanki niczemu nie służą. Z tego się nic pozytywnego nie może urodzić, bo wszystko jest na zasadzie „kto kogo”. To jest okropne. I media niestety też wpadły w tę manierę, żeby patrzeć, kto tu komu przywali i czyje będzie na wierzchu. Wszyscy zapominamy o tym, że to dotyczy naszej Ojczyzny, jakby nie było, i jej przyszłości, która wcale nie zapowiada się tak różowo, jakby to się wynikało z niektórych wypowiedzi. Podziwiam ludzi, którzy siedzą i to w kółko oglądają. Myślę, że w ten sposób traci się dystans do tego wszystkiego, że to można traktować tylko jako rodzaj narkotyku, który wciąga...

Niedawno oglądałam też w telewizji „Na przełęcz” z Teatru Witkacego. Fantastyczne przedstawienie. Zadzwonię do Andrzeja, bo jeszcze mu nie pogratulowałam. Premierę tego spektaklu widziałam w Zakopanem, kiedy to się wszystko działo rzeczywiście w trakcie wycieczki. Myśmy po prostu szli w góry do schroniska, gdzie potem odbywała się reszta spektaklu. To miało niesamowity urok. To było dwa, trzy lata temu i udało się namówić Jana Nowaka-Jeziorańskiego, żeby z nami poszedł. Był po prostu zachwycony. To było na sylwestra i potem byliśmy na małej scenie, gdzie aktorzy przedstawiali z kolei piosenki z okresu międzywojennego, Jan Nowak-Jeziorański śpiewał z Dorotą jedną z nich. Bardzo się cieszę, bo wiem, że miał masę frajdy, i oni też.

W końcu lutego są urodziny teatru. Andrzej tak zawsze robi, że przed premierę czegoś nowego pokazuje na sylwestra, a potem to powtarza właśnie na urodziny. Pisałam już o tym, że tym razem miał to być Witkacy, nieznana jego sztuka, zresztą bez tytułu. Przejmująca. Właśnie przez swoją aktualność. To się nazywało „Dobry wieczór, Witkacy”. Byłam ze swoją przyjaciółką ze Stanów, która oczywiście nic nie rozumiała, ale też była strasznie przejęta. Jak to u Andrzeja, dziesiątki

fantastycznych zupełnie pomysłów inscenizacyjnych. Natomiast cisza panowała zatruwająca, więc może jak na sylwestra to nie było najlepsze, ale z drugiej strony od rzeczywistości nie da uciec. Bardzo się cieszę, że Andrzej wrócił do Witkacego i że właśnie zrobił to przedstawienie. Świetne. Mam nadzieję, że to będzie jedna ze znaczących sztuk w dorobku teatru.

A skoro już o teatrze mowa byłam też na premierze „Jego ekscelencji” według Dostojewskiego w Teatrze Współczesnym. To Iza Cywińska zrobiła, z Pszoniakiem, z Szaflarską. Rzeczywiście dobra obsada, dobrze zrobione przedstawienie, ale takie przygnębiające, z takim przesłaniem, jak to głupek może zdominować całkiem wydawałoby się rozsądne środowisko. Takich przykładów mamy dziesiątki dokoła nas, nie trzeba iść do teatru, niestety...

Iza jest świetnym reżyserem. Napisałam do niej, że po prostu nie wiem, kiedy ona znajduje czas na to, co robi i skąd ma tak niewiarygodną ilość pomysłów. Bo przecież i ta „Boża podszewka” jest fantastyczna, wielkie przedsięwzięcie, i robi też inne filmy i przedstawienia teatralne, i w telewizji. Niesamowicie ciężko pracująca kobieta. Ale chwała Bogu, że są tacy...

sobota, 4 lutego

Wspomniałem ostatnio noc sylwestrową w Zakopanem w Teatrze Witkacego. Po spektaklu oczywiście były tańce. Lubię spędzać tam sylwestra, bo oni mają piękne sale, gdzie tańczy się z prawdziwą przyjemnością. Nie ma tego, że człowiek siedzi na człowieku i nie ma nawet możliwości zrobić pół obrotu. Więc walce, jakie tam wykręcaliśmy, były rzeczywiście fantastyczne.

„Nowy dzień” spytał mnie w związku z karnawalem, czy lubię tańczyć. Uwielbiam. Oboje z mężem uwielbiamy i staramy się robić to maksymalnie fachowo. Kiedyś pojechaliśmy do mojej siostry, która prowadzi szkołę tańca w Toronto, i spędziliśmy cały urlop na tańczeniu od rana do nocy. Dopiero to nam pokazało, jak niewiele umiemy, mimo że mamy świetne wyczucie rytmu i wszyscy uważają, że mój mąż jest znakomitym tancerzem i że ja też dobrze tańczę.

No, ale w Polsce nie ma miejsc do tańczenia, nawet gdy się na bale pójdzie, to jest bardzo mała przestrzeń do takiego autentycznego tańca. Na dodatek ludziom się wydaje, że jeżeli tylko potrafią w rytm podskakiwać, to już jest coś. Nie ma jeszcze tego, co na Zachodzie stanowi jakby normę, że przy pewnym statusie majątkowym, przy pewnej pozycji, jest rzeczą nie do pomyślenia, żeby nie potrafić zatańczyć podstawowych zupełnie tańców, takich jak walc, tango (zresztą to są akurat wyjątkowo trudne tańce), czy chociażby rumbę lub slow-foksa. U nas niestety nie uważa się, że to jest wymóg. Tam w związku z tym jest bardzo dużo ludzi chodzących na kursy oraz wiele sal nadających się do tańca. U nas niestety tak nie jest.

W zeszłym tygodniu byłam jednego dnia na dwóch balach, na balu Amerykańskiej Izby Handlowej i na balu Austriackiej Izby Handlowej. Ponieważ nie cierpię siedzieć przy stole i pojadać sałatki, poszłam pogadać trochę z ludźmi i trochę potańczyć. Nie było niestety mojego męża. I to jest nieszczęście, bo strasznie trudno znaleźć partnera. Z tych osób, które znam, Marek Borowski też był na kursie i wie mniej więcej, czym się różni slow-fox od rumbly. Oczywiście są osoby, które mają wycucie rytmu i coś potrafią, ale to jest dalekie od tego, jak się powinno tańczyć.

Ja tańczyłam przez całą swoją szkołę w zespole tańca ludowego, co pewnie dało mi dobre podstawy do tańczenia towarzyskiego. Oczywiście, że moje umiejętności w stosunku do tego, co można zobaczyć w programie TVN są skromne. Widziałam jedno wydanie, bo Mariusz Walter posadził mnie przed telewizorem, kiedy była premiera „Tańca z gwiazdami”, no i jestem pełna podziwu, że ludzie, którzy nie robią tego profesjonalnie, robią to tak świetnie. To pokazuje, że można, ale bez przygotowania się nie da, trzeba naprawdę popracować, żeby mieć efekt.

14 lutego, wtorek

Przeprowadzką do Warszawy najbardziej są zaskoczone moje zwierzęta.

Najważniejsze są psy, bo od psów zaczynałam. Na pierwszym miejscu Magister, który jest ze mną w Warszawie. To synek Sambusi, psa, którego moja córka kupiła, gdy wróciliśmy ze Stanów. Zawsze chcieliśmy mieć psa, ale na to nie było zgody męża. Więc kiedy wróciliśmy do Polski, a on został w Stanach, natychmiast to wykorzystaliśmy. Dokładnie chyba było tak, że w pierwszy weekend pojechaliśmy na stadion „Skry”, gdzie wtedy była psia giełda, i kupiliśmy małego wilczka, „kobietę”. Ponieważ bez przerwy latała za swoim ogonem, nazwałam ją Samba. To był fantastyczny pies. Bardzo wszyscy byliśmy do niej przywiązani. Samba miała trzy razy dzieci, więc wśród wielu naszych znajomych jest jej cała rodzina; jedna z jej córek trafiła do Kajtka Rosatiego.

Zostawiłyśmy sobie Magistra. Sambusia była bardzo mądra, można było z nią o wszystkim rozmawiać, o polityce również. Natomiast Magister (który urodził się akurat, gdy była awantura o wykształcenie naszego prezydenta, stąd ten tytuł), mimo że to mężczyzna, to jednak przejął wiele cech po swojej matce i też jest psem bardzo wrażliwym, słuchającym. Idealnie orientuje się w naszych nastrojach. W Konstancinie miał kawał lasu dla siebie, ale mieszkał w domu i generalnie uważa się za członka rodziny. Zawsze jest dla niego miejsce przy stole i jest oczywiście demoralizowany dokarmianiem, co denerwuje mojego męża. Ale to nie jest po prostu pies, to członek rodziny. W nowym miejscu czuje się dość zagubiony, bo nagle trafił do parku, tak że już nie ma wypuszczania. Ja w związku z tym mam więcej spacerów i wbrew pozorom więcej jestem tutaj na powietrzu, niż byłam w Konstancinie, bo dzień zaczynam od spaceru z Magistrem i kończę spacerem z Magistrem. On jest w szoku totalnym, bo czuje wszystkie zapachy innych psów, których przecież tam wokół siebie nie miał. Więc spacerują bardzo długo, głównie dlatego, że on musi rozpoznać cały nowy teren. Ale myślę, że już się powoli przyzwyczajają.

Natomiast koty są ciągle w lekkim szoku, nie mogą sobie znaleźć miejsca. Jest taki pokój, w którym zostało trochę paczek, pewnie jeszcze o znanym zapachu, i one najczęściej śpią tam w pudłach. Ale już zaczynają się dalej wyprawiać... Dominik,

to pers, który w Konstancinie chodził na spacer, i to takie dość długie... Wyraźnie mu tego brakuje. Jest tu taki ogród zimowy, z którego widać park, i on najczęściej siedzi przy tym oknie i widać, że chciałby wyjść. Są balkony, więc jak się tylko trochę ociepli, myślę, że po tych balkonach będzie chodził. Brakuje mu tego. Pozostałe dwa koty, które siedziały w domu, takich tęsknot nie mają. Są nowe meble, więc chodziły ciągle i szukały, gdzie tu by sobie coś wybrać. I już znalazły miejsca na różnych kanapach. Obiecałam mężowi, że teraz już nie będą spały w naszej sypialni. W Konstancinie Dominik był z Magistrem na dole, natomiast Lena, syberyjska kotka, i Sebastian, kot syjamski, były ze mną w sypialni.

Magister z Dominikiem świetnie się rozumieją i między nimi nie ma żadnych problemów, natomiast dwa pozostałe koty to dla Magistra coś zupełnie nowego. Strasznie za nimi biega i myślę, że też potrzebuje trochę czasu, żeby uznał, iż one są z nami na stałe. Nie ma żadnych wrogich zachowań, natomiast nie daje im spokoju. No i wyjada im żarcie. Jeden z moich kłopotów polega na tym, jak zorganizować kocie jedzenie – które ewidentnie jest lepsze, sądząc z tego, jak się Magister na nie rzuca – żeby je im zostawiał.

Jeszcze mamy ptaszka, ryżowca; on jest najbardziej szczęśliwy. Zawsze marzyłam, żeby mieć ptaszka śpiewającego i gdy poszłam go kupić do sklepu zoologicznego, to pan powiedział: niech Pani nie zaczyna od wielkich ras, tylko może od tego wróbla azjatyckiego. Jest uroczy. Ma na imię Toni i ćwierka. Poprzednio był na dole, więc miałam z nim kontakt tylko wtedy, gdy przynosiłam mu jedzenie. Natomiast teraz jest w sypialni, no i nawet zamierzam go wypuścić z klatki, ale trochę się boję, żeby mi się o jakąś szybę nie rozbił, bo nigdy nie fruwał. Ale niech ma szansę zaznać trochę wolności.

Mam jeszcze dwa psy na wsi. To jest Plat i Forma. Ponieważ mam psy polityczne, pojawiły się w domu, gdy powstawała Platforma. Kiedy była dyskusja, jak je nazwać, to moja córka wymyśliła: i on jest Plat, a ona Forma. I teraz chodzę po wsi i krzyczę: Plat Forma, Plat Forma... Zobaczymy, jak się będą nazywać następne przy kolejnych wyborach, a tych jak widać w Polsce nie brakuje. Ale chwilowo nie planuję żadnych nowych zwierzątek, bo myślę, że jak na to mieszkanie, które mam, to jest i tak niezła zgraja, a z kolei na wsi też nie chcę, żeby było na ilość, tylko na jakość.

22 lutego, środa

Przedwczorajsze obchody piętnastolecia Nicomu uzmysłowiły mi, że w Polsce funkcjonuje... Nicomowska mafia, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Są to ludzie o znakomitym przygotowaniu, oddani temu, co robią. Jeżeli dzisiaj w wielu firmach Polsce, w wielu instytucjach są przedstawiciele Nicomu, to myślę, że to jest dobrze dla tych firm. Nie mogę wymienić wszystkich, którzy przewinęli się przez naszą firmę, ale muszę wspomnieć o najmłodszej jej „przedstawicielce”, o Malwinie, córce Małgosi, która urodziła się w piątek. Mamy więc kolejne nasze Nicomowskie dziecko! Bardzo się cieszymy z każdego, a pojawiło się ich w Nicomie sporo.

Myślę, że te piętnaście lat to była dla wszystkich bardzo ciekawa podróż. Dziś przewodzi jej Hania Łabęda, która rządzi teraz Nicodem dużo lepiej ode mnie i cieszę się, że zdjęła ze mnie ciężar prowadzenia firmy, która obecnie musi sprostać przecież zupełnie nowym wyzwaniom.

Oprócz pracowników do naszej Nicomowskiej rodziny należą także współpracownicy, których mieliśmy bardzo wielu. Jest to grupa najbliższych przyjaciół, którzy dziś funkcjonują w różnych firmach consultingowych, prawniczych czy audytorskich, a którzy przez całe lata współdziałali z nami w całej Polsce, w różnych projektach. Cieszę się, że dzięki tej pracy mieliśmy okazję poznać tak wielu fantastycznych ludzi.

Do rodziny należą też nasi klienci, dzięki którym żyjemy, którzy byli i są dla nas wyzwaniem. Myśmy rośli z nimi a oni z nami, i mamy wielką frajdę, że wśród nich mamy również przyjaciół. Może wspomnę tylko jedną firmę, bo z nią byliśmy od samego początku. To stocznia Remontowa S.A. w Gdańsku, którą najpierw restrukturyzowaliśmy jako państwowe przedsiębiorstwo, potem pomagaliśmy im w następnych przemianach, w końcu sprywatyzowaliśmy. Dzisiaj to jedna z niewielu świetnie funkcjonujących stoczni, a Piotr Soyka, który ciągle jest jej szefem (to też ewenement!) jest na pewno jednym z najbliższych przyjaciół Nicomu. A takich jak on jest wielu.

W jubileuszowych obchodach uczestniczyła jeszcze jedna część naszej rodziny. Zacznę od Teatru Witkacego, bo nie było takiej okazji, w której nie bylibyśmy razem i w której nie moglibyśmy na nich liczyć. A to, co robili, dawało nam niesamowitą frajdę.

Do rodziny teatralnej doszła potem, kiedy powstała galeria Nicomu, rodzina malarska, której przedstawicieli nie zabrakło na naszym święcie. Prof. Szubińska, prof. Zemła, Edward Dwurnik... Osoby, których dzieła – rzeźby, grafiki obrazy – są w Nicomie i mam wielką satysfakcję, że to są też nasi przyjaciele. Wreszcie nasza rodzina literacka, związana z Nagrodą Nike, która w tym roku będzie obchodziła swoje dziesięciolecie. I to znowu są przyjaźnie i więzi z ludźmi, z którymi pewnie nigdy bym się nie spotkała, gdyby nie te działania Nicomu, które wychodziły dużo dalej poza wąski profil firmy consultingowej.

Przez piętnaście lat rodzina Nicomowska bardzo się rozrosła. To wielka satysfakcja, gdy się patrzy, jak rozwijają się firmy, ludzie, jak z tego wszystkiego rozwija się Polska. I to wcale nie są za wielkie słowa. Dzisiaj wszyscy myślimy, co będzie dalej. Mam duży kłopot z odpowiedzią na to pytanie. Mogę powiedzieć jedno, że Nicom będzie na pewno uczestniczył w tym, co Polskę może zmienić na lepsze i że będziemy starali się zrobić wszystko, żeby polska gospodarka miała się lepiej a nie gorzej.

Naprawdę w Polsce jest masę do zrobienia i każda osoba, każda instytucja, która chce swoją cegiełkę do tego dołożyć, wszystko jedno w jakiej dziedzinie, jest na wagę złota. Mamy tego świadomość i na pewno chcemy w tym budowaniu uczestniczyć. Przed nami wiele nowych projektów, do których podejmiemy pewnie z nie mniejszym zaangażowaniem niż do tego, co robiliśmy wtedy, kiedy Nicom powstał w 1990 roku.

16 marca, czwartek

Obserwując to, co się teraz dzieje w Polsce, zastanawiam się, co ma pomyśleć ktoś, kto przez szesnaście lat funkcjonował w państwie, w którym demokratycznie wybierane władze realizowały program, akceptowany przez najważniejsze instytucje finansowe i przez kraje, z którymi Polska współpracuje.

Ja rozumiem, że mogą toczyć się polityczne gry i zabawy. Ale toczy się dyskusja czysto i wyłącznie polityczna, nie merytoryczna. Na pewno przez minione lata popełniono wiele błędów, na pewno wie rzeczy można było zrobić inaczej. Ale zapominamy, że kiedy Balcerowicz przygotowywał swoją szokową terapię, nie było się nawet od kogo uczyć, byliśmy pierwszym krajem, który przez to przechodził. A wystarczy spojrzeć na to, co pokazywaliśmy choćby na konferencji „Polska liberalna – Polska solidarna”, że te kraje, które nie poszły na zmianę struktury sektora finansowego, nie poszły na liberalizację, rozwijały się dużo wolniej. I o tym trzeba mówić.

Dzisiaj wszyscy zapominają, z jakiego punktu startowaliśmy i gdzie dzisiaj jesteśmy. Wszyscy są przyzwyczajeni do tego, że mamy pełne półki, zadowoleni z tego, że mamy gospodarkę i przedsiębiorców, którzy nie boją się najbardziej rozwiniętych krajów. Tylko jest pytanie, z czego to się wzięło. Z powietrza? Nie, z tego, że byliśmy w stanie przebudować sektor bankowy tak, by stał się konkurencyjny, że on zbudował stabilność Polski. Nigdy nie bylibyśmy w stanie rozwiązać naszych największych problemów, gdyby właśnie nie zaufanie do sektora bankowego. W innych krajach kapitału zagranicznego w bankach jest jeszcze więcej. Nie da się przed tymi procesami uciec. I nie może być tak, że tam, gdzie jest nam wygodnie, krzyczymy, że ma być wolny rynek i robimy awantury, dlaczego na rynku europejskich usług polski hydraulik nie ma takich samych praw. Ale z drugiej strony niektórzy podważają jednolity rynek, mówiąc: nie, tutaj to was nie wpuścimy.

I dlatego kwestionowanie tych szesnastu lat i – z całą wiedzą, którą mamy dzisiaj – mówienie - to trzeba było robić inaczej - przez ludzi, którzy mają zerowe pojęcie o tym, jakimi prawami rządzi się sektor usług finansowych, jest niedopuszczalne. W ciągu szesnastu lat było osiem rządów, każdy musiał dostać votum zaufania w Sejmie; mamy zbudowane instytucje o najlepszych standardach światowych, takie jak choćby Najwyższa Izba Kontroli, której szefem był w końcu przez wiele lat Lech Kaczyński, jak Inspektorat Nadzoru Bankowego, jak działający także nadzór instytucji zewnętrznych. I co? To oni wszyscy uczestniczyli w jakimś spisku? Gołym okiem widać, gdzie my dzisiaj jesteśmy i jaki to jest sukces. Opowiadanie o tym, że tylko jakaś elita się uwłaszczyła na tym i odcina kupony, nie zgadza się z twardymi danymi, które pokazują, że nie ma grupy społecznej w Polsce, która dzisiaj nie ma się dużo lepiej niż przed rokiem 1989.

Średni dochód wzrósł o 50 proc. na obywatela. Kto ma te samochody? 2 proc. społeczeństwa? Kto jeździ za granicę? Kto te domy wszystkie buduje? Trzeba do rocznika statystycznego przynajmniej zajrzeć, a nie tworzyć wrażenie, że tutaj jest jakaś mafia, która zawładnęła ojczyzną. Przez szesnaście lat żyliśmy w kraju, w którym nie było wolnych mediów, nie było instytucji pilnujących tego porządku, nie było możliwości dawania demokratycznego prawa do przejęcia władzy przez tych, których ludzie chcieli?

A to, że jest jakiś procent złych działań, że jest jakiś procent korupcji... Nie jesteśmy jedynym krajem, który tego doświadcza. Trzeba z tym walczyć, ale nie można wmawiać, że Polska to jest jedna wielka skorumpowana grupa.

Dziś odbywa się nakręcanie tego, co niestety w Polakach zawsze było: zawiści, niezgody na sukces kogoś innego.

Coś w tym było, że tego PiSu nikt nie chciał...

21 marca, wtorek

Mój niedawny pobyt w Stanach to był duży oddech. Tam już była wiosna. A wydaje się, że jest to pora roku, która w Polsce się nigdy nie zdarzy. Kwitły już kwiaty i drzewa, było ciepło, ptaki śpiewały, wszystko budziło się do życia. Mam nadzieję, że nie jesteśmy na jakiejś czarnej liście i wiosna też do nas przyjdzie.

Tam jest ogromne zainteresowanie Polską i było bardzo wiele pytań, co się u nas dzieje. A przecież to strasznie trudno ocenić, bo tyle w tym nieracjonalności, tyle emocji, więc nie było też łatwo odpowiadać na te pytania, co to za towarzystwo dorwało się do władzy. Bo jednak przez te ileś lat Polska, przy wszystkich zmianach, jakie się działy, miała opinię kraju w miarę przewidywalnego. W tej chwili ta przewidywalność jest dość ograniczona i to dobrze nam nie robi.

Jak się zachowują inwestorzy? Z jednej strony jest spore zainteresowanie, co ciekawe, nie tylko dużych korporacji, no bo one już tutaj w większości są i są bardzo zadowolone, ale i małych i średnich firm amerykańskich. Przy naszej strukturze gospodarki jest ważne, że dla naszych małych i średnich firm będą partnerzy w dystrybucji, w produkcji, we wszystkim. Ameryka też ma swoje problemy. Wojna w Iraku jest coraz bardziej kwestionowana. Jesienią są wybory uzupełniające do Senatu, więc też toczy się ożywiona debata polityczna, na temat tego, w którą stronę dalej... Nie wiem, czy to jest pocieszające, ale warto mieć świadomość, że tendencje nacjonalistyczne, że ten, jak to Bush chyba nazwał, patriotyzm ekonomiczny, to nie jest tylko i wyłącznie polski przypadek.

Ale tym bardziej powinniśmy przeciwko temu walczyć. Jesteśmy biednym krajem, na początku rozwoju i jeżeli przed nami zostaną zamknięte rynki, stracimy najwięcej. Gospodarka amerykańska rzeczywiście bardzo ładnie się rozwija, bezrobocie znowu zaczęło spadać, jest poniżej 5 proc. Dla nich takie zamknięcie też będzie w dłuższym czasie stratą, ale dla nas to jest bardzo niebezpieczne. Dlatego, jeżeli wpisujemy się w scenariusz zamykania, to trzeba mieć świadomość, kto tak naprawdę za to zapłaci.

Podczas tej wizyty miałam okazję być w wielu zakładach produkcyjnych. Fascynującym doświadczeniem było poznanie w Los Angeles firmy, która zajmuje się komercyjnym wysyłaniem satelitów, najczęściej satelitów medialnych. W przedsięwzięciu uczestniczą firmy amerykańskie, rosyjskie i ukraińskie. Z platformy, która z Los Angeles płynie około dwóch tygodni, na Pacyfiku wystrzeliwane są rakiety z satelitami, rocznie około czterdziestu kilku. Fascynując jest połączenie techniki rosyjskiej, można nawet powiedzieć radzieckiej, ukraińskiej i amerykańskiej. Każdy robi swoje i to są kompletnie zamknięte trzy światy, tak że np. do sektora ukraińskiego bez zgody ukraińskich szefów nie może wejść żaden Amerykanin. Każdy pilnuje swego.

To jest fascynujące, że coś takiego mogło powstać. Chęć zarobienia pieniędzy w rzeczach, które – wydawałoby się – są nie do przeskoczenia, może pokonać różne przeszkody. Dawno nie obserwowałam czegoś, co jest dowodem na to, że można pokonać największe bariery. Możliwe jest to wtedy, kiedy ma się jakieś cele, kiedy się myśli o przyszłości. Gdyby ci ludzie, którzy biorą udział w tym przedsięwzięciu, byli skoncentrowani przede wszystkim na tym, jak wykiwać swego poprzedniego wroga, to nic by z tego nie było. Ale przede wszystkim trzeba mieć pomysł.

I dlatego tak długo, jak niektóre partie nie zrozumieją tego, nie będą miały pomysłu na Polskę, nie będą miały pomysłu na to, co dotyczy przyszłości, tylko będą się cały

czas zajmować przeszłością właśnie dlatego, że tego pomysłu nie mają, to z tego nic dobrego dla nas niestety nie wyniknie.

1 kwietnia, sobota

Byłam na bardzo ciekawym spotkaniu w Brukseli. To był szczyt biznesowy, w którym brali udział przedstawiciele świata polityki i biznesu. Zwykle organizuje się go jako przygotowanie przed szczytem przywódców państw. Wygląda na to, iż Unia Europejska zostaje w ogonie. Jeśli chodzi o Strategię Lizbońską, która miała być programem reformatorskim, umożliwiającym Unii dogonienie w 2010 roku Stanów Zjednoczonych, nic się z tym nie dzieje.

Jedną z osób występujących był Hindus, Lakshmi Mittal, szef wielkiej firmy stalowej Mittal Steel Company, który kupił naszą Hutę Katowice i jest w tej chwili największym producentem stali w Europie, a chce kupić jeszcze wielką francuska firmę Accelor. Wtedy praktycznie będzie kontrolował europejski rynek stali.

Ten rozżew między opowiadaniem biurokratów brukselskich o wprowadzanych przez nich procedurach anty koncentracyjnych i faktem, że jedna osoba praktycznie trzyma w garści całą Europę, bo przecież stal wszędzie jest potrzebna, ten rozżew był uderzający. To jakby znak czasu, że po rozdrobnieniu następuje proces konsolidacji. I tak jak Microsoft i Bill Gates rządzą jednym rynkiem, tak samo jest z Mittalem.

Patrząc na wielkie potęgi finansowe, jakie zaczynają być budowane w Indiach, w Brazylii, w Chinach, przy sile tamtej gospodarki, jej skali, myślę, że jesteśmy w ogóle do tego nie przygotowani. Układamy swoje klocki według bardzo tradycyjnych koncepcji, a świat się po prostu niesamowicie zmienia.

Gdy obserwuję protesty w Paryżu, gdzie młodzi ludzie demonstrują, bo chcą mieć stałe kontrakty, i to, jak funkcjonuje właśnie gospodarka hinduska, chińska czy brazylijska, to widzę, że my po prostu możemy przegrać. Nie dostrzegam tutaj ludzi, którzy myślą strategicznie. Będziemy mieć jakieś tam bezpieczeństwo socjalne i nawet będzie miło, ale przegramy.

Polska jest świetnym przykładem, jak można być parafialnym, jak można nie widzieć, w którą stronę świat pędzi. Możemy mieć pretensje do swoich przywódców, ale patrząc na to, co się dzieje we Francji, różnica nie jest wielka. Tylko pytanie, czy akurat na te wzorce powinniśmy się oglądać.

Po pierwsze, czy nie moglibyśmy sami być liderami, tak jak byliśmy przez ileś lat. Po drugie, że jeżeli już chcemy iść z kimś, to z tymi, którzy naprawdę coś wygrywają, to znaczy z Irlandczykami, z Brytyjczykami, z tymi, którzy widzą zagrożenia i wiedzą, że okopywanie się i trzymanie się starych przyzwyczajęń do niczego nie doprowadzi.

Rynek pracy się kompletnie zmienia i ludzie, którzy sobie myślą, że będą podpisywali kontrakty i będą siedzieli do końca życia w jednym miejscu, są dinozaurami. Gatunkiem, który dawno wyginął. I ich gatunek też wyginie. Im szybciej potrafimy się dostosować do tego, co się dzieje na świecie, tym większa szansa. Pan Mittal

odpowiadał właśnie o tym, jakie wprowadza u siebie systemy edukacyjne, ścieżki kariery itd. itd. To dzisiaj narzuci standardy wszędzie indziej.

Kiedy na tym tle patrzę na tę naszą walkę o fuzję dwóch banków, z których oba są pryszczem w stosunku do tego, jak wielkie są instytucje finansowe w Europie czy w Stanach... Jeżeli chcemy brać udział w światowym biznesie, musimy mieć instytucje finansowe, które będą w stanie finansować wielkie projekty. A w pomysłowość Polaków wierzę, bo jesteśmy narodem wyjątkowo otwartym.

Z jednej strony chcielibyśmy być w Europie, z drugiej stawiamy mur i mówimy: nie, nie, to nasze, my tu musimy mieć kontrolę nad, że tak powiem, narodowym kapitałem. To myślenie jest odległe od rzeczywistości. Oczywiście, nie jesteśmy jedynym takim krajem. Tylko problem polega na tym, że np. Francuzów stać na to, bo gromadzili swoje bogactwo przez lata. Chociaż patrząc, jakie mają bezrobocie i jakie niedobre nastroje są wśród społeczeństwa, też nie do końca. Ale my? My nie mamy innego wyjścia tylko uciekać do przodu.

Opowiadanie o tym, że dawniej było fajnie, bo państwo było właścicielem, i było miło i spokojnie, jest cofaniem nas do czasów, które już nigdy nie wrócą, i przede wszystkim tracenie możliwości właśnie tej ucieczki do przodu. Najgorsze jest to, co się dzieje w tej chwili, że jest taka legitymacja do tego, żeby myśleć starymi kategoriami jakichś narodowych patriotyzmów. Tymczasem Polacy swój narodowy patriotyzm realizują, pracując np. w Wielkiej Brytanii. A teraz pojedą do Hiszpanii, do Portugalii itd. Będziemy pracować na system zabezpieczeń społecznych tych krajów i to będzie nasz narodowy patriotyzm.

To wszystko razem wygląda niewesoło. Pewnie to, że ta wiosna nie może ciągle przyjść, też tak wpływa przygnębiająco. W Brukseli też jej nie było...

12 kwietnia, środa

Byłam w wielu miejscach, ale nigdzie nie spotkałam tego typu inicjatywy, a do tego trwającej tyle lat. Myślę o Cioci Jadzi i jej koncertach dla dzieci w warszawskiej filharmonii. Fenomen niewiarygodny – czas stanął w miejscu: sama chodziłam na te koncerty, potem chodziłam z moim bratem, potem z moimi dziećmi, teraz z wnukami. A Ciocia Jadzia jest dokładnie taka sama.

To fantastyczne przedsięwzięcie. Trzeba mieć ogromną wiedzę, żeby o muzyce opowiadać dzieciom w taki sposób, by były tym zainteresowane. A przecież przychodzą na koncerty dzieci i mniejsze i większe, ze szkół muzycznych, ale nie tylko. Tymczasem Ciocia Jadzie potrafi sprawić, że siedzą od początku do końca zafascynowane.

Te koncerty są ważne, bo oswajają z muzyką. Wielu ludzi boi się iść do filharmonii, bo to dla nich świat obcy: nie rozpoznają instrumentów, nie wiedzą, kiedy klaskać, nie wiedzą, jaka jest konstrukcja utworów muzycznych... Gdy się ma już ileś lat, ciężko się do tego przyznać.

Koncerty Cioci Jadzi są fantastyczne, bo dają dzieciom, a i sporej części rodziców i dziadków, właśnie taką wiedzę. Ciocia Jadzia zachęca dzieci do aktywności, jej słuchacze odpowiadają, jaki to instrument, jaki kompozytor... Gdy dzieci przejdą przez te koncerty, to czy chcą czy nie chcą, muzyka staje się im bliższa. Patrząc na swoje wnuki, które nie zawsze są jednakowo zainteresowane, ale sam fakt, że w tym uczestniczą, oswaja je z muzyką i wyrabia nawyki.

Przypomina mi się piąta rocznica Konfederacji. Sponsorowaliśmy jeden z koncertów orkiestry Gidona Kremmera w ramach Festiwalu Beethovenowskiego. Była bardzo długa część oficjalna, myśmy to ewidentnie źle zaplanowali, w związku z tym koncert zaczął się dość późno. Skutek był taki, że w przerwie spora część gości po prostu wyszła. Na dodatek inna część uznała, że ważniejszy od muzyki jest bankiet. Bardzo się tego wstydziłam. Trudno się dziwić, że gazetowi recenzenci zjadliwie krytykowali, że biznesmeni nie potrafią się zachować, klaszczą nie wtedy, kiedy trzeba, szczękają widelcami w trakcie, kiedy artysta gra itd. itd.

Okazuje się jednak, że to nie jest wyłącznie nasza specjalność. W trakcie galowej kolacji w Brukseli z udziałem prezydenta Austrii (Austria ma prezydencję w Unii) załącznikiem do kolacji było... „Requiem” Mozarta. Gdybym nie wiem jak myślała, takie zestawienie nie przyszłoby mi do głowy. Siedziałam przy scenie, więc słuchałam muzyki, natomiast cała reszta gadała, jadła, w ogóle się nie przejmując. Oczywiście klaskali po każdej części. Nie musimy więc mieć tak wielkich kompleksów.

21 kwietnia, piątek

Bardzo lubię muzykę poważną. I jeżeli słucham czegoś, to najczęściej właśnie jej. Dla wyciszenia. Wiadomo, że jeżeli Callas, to tylko w niedzielę. Wtedy, u mnie na wsi, słysząc ją na wszystkich łąkach.

Operę odkryłam przypadkiem. Wcześniej wydawało mi się, że to bardzo anachroniczny gatunek sztuki - ktoś wychodzi, śpiewa, nikt tego nie rozumie, a wszystko jest nieaktualne.

I kiedyś usłyszałam nagrania Callas. To był ktoś, kto wyznaczył nowe ścieżki, jeśli chodzi o sztukę operowego śpiewania, o aktorstwo, siłę głosu, ekspresję. Dobrze trafiłam. Callas otworzyła mi świat opery. Ten świat, jak pokazuje Ewa Michnik z Wrocławia, nie musi być zamknięty. Sztuka operowa może być sztuką dla wielu – ona przecież robi spektakle dla tysięcy ludzi, którym, to widać, bardzo się podobają. Dziś ludzie żyją obrazami, nie potrafią dłużej się nad czymś zatrzymać. Jeżeli „Carmen” byłaby pokazana w tradycyjny sposób, przyszłaby garstka ludzi.

Ludzie szukają nowego. Elżbieta Penderecki znalazła inny klucz, np. maraton fortepianowy – cały dzień siedzi się w filharmonii i jest jeden koncert za drugim, w dobrym wykonaniu. Organizuje Festiwal Beethovenowski, którego my nie doceniamy, a ja spotykam Niemców, którzy rezerwują bilety na następny za rok. To fantastyczne, że globalizacja nie dotyczy wyłącznie tego, że hinduski koncern stalowy rządzi na świecie, ale tego, że jak ktoś ma pomysł, to za małe pieniądze może przelecieć się do Mediolanu i obejrzeć jakąś operę.

Dlatego denerwują mnie nasze parafializmy, próby zamykania, pokazywanie, że nasze jest lepsze. Jeśli jest lepsze, to się i tak obroni.

Z drugiej strony nie potrafimy cenić naszej kultury. Za mało dzieje się w tej sprawie w szkołach. Polacy poznali już cały świat, ale ciągle nie byli na Żuławach, w Małopolsce i tysiącu innych wspaniałych miejsc! Ja, dzięki rodzicom poznałam Polskę, bo jeździliśmy wszędzie samochodem skonstruowanym przez tatę, budząc sensację. Spaliśmy w stogach siana, po rodzinie, jak była, a jak nie, to w samochodzie. To rodzina nauczyła mnie ciekawości, otwartości, ufności.

Niedawno oglądałam telewizyjnego „Juliusza Cezara”. Szekspir, ale w realiach naszego parlamentu, w Sali Kolumnowej znanej z komisji śledczych, w centrach

handlowych. I nabieram pokory, bo codziennie się wściekam na to co się dzieje wokół, denerwuję, a w końcu, Boże kochany, ludzie toczą te same bitwy: o władzę, o pieniądze, o miłość. Dzisiaj ma to inny wyraz, ale na końcu chodzi o to samo...

wtorek, 2 maja

Niedawno mój syn Paweł, który od czasu śmierci Papieża jest przykładem Pokolenia JP II, namówił mnie na spotkanie ze studentami z Soli Deo i rozmowy o macierzyństwie, o rodzinie. Zajmuję się teraz zupełnie innymi rzeczami i trudno mi było w te koleiny własnego życia wskoczyć i o tym mówić. Ale spotkanie się udało.

Za proste byłoby odpowiedzieć: jest czas na macierzyństwo. Jak do wielu rzeczy, trzeba się do tego przygotować. Staralam się, żeby to nie był scenariusz pisany przez kogoś innego. Wszystko jedno, czy to są moi rodzice, czy moje dzieci, czy moje wnuki, czy przyjaciółki i przyjaciele. Uważałam, że powinnam go tak pisać, by moje życie było jak najbardziej zgodne z tym, co dla mnie jest ważne. To zakrawa na egoizm, ale jeżeli człowiek nie żyje w zgodzie ze sobą, żyje tylko częścią życia i, co gorsza, inni też mają wtedy z tego tylko część. Dlatego trzeba sobie odpowiedzieć na zasadnicze pytanie - kim jesteśmy. A to jest pytanie, na które bardzo wiele osób sobie nie odpowiedziało, często dożywając emerytury.

Szkoła ciągle nie daje szans, żeby z wieloma rzeczami się spróbować, spróbować z sobą, żeby zmusić nas do odpowiedzi, w czym tak naprawdę jesteśmy dobrzy, co sprawia nam radość, czego nie lubimy, co robimy z przymusu. Te odpowiedzi nie zawsze są takie same, bo się zmieniamy. To co planujemy i co o sobie myślimy mając lat dwadzieścia, i co o sobie myślimy mając lat trzydzieści, często się różni, bo są rzeczy, które od nas nie zależą, a też nas w istotny sposób kształtują. I czegokolwiek dotknę, wracam do pytań: kim jestem, co sprawia mi satysfakcję, w czym jestem dobra, w czym inni ludzie czują się ze mną dobrze.

To dotyczy również macierzyństwa. Nigdy nie patrzyłam na macierzyństwo jako obowiązek, albo cel życiowy, bez którego nie byłabym się w stanie spełnić. Jest bardzo wiele rzeczy, w których się można spełniać, niekoniecznie będąc matką. Kiedy zastanawiałam się, jak moje życie ma wyglądać i rozmawialiśmy o tym ze Zbyszkim, byłam absolutnie przekonana, że przede wszystkim chcemy być rodzicami. Wszystko późniejsze było konsekwencją świadomej decyzji, że chcemy mieć dzieci, że to jest dobry czas, kiedy powinnam je mieć, choć wiele osób twierdziło, że wręcz przeciwnie, bo Paweł urodził się, kiedy byłam na piątym roku studiów. Jednak miałam rację - nie było żadnych problemów z połączeniem pisania pracy magisterskiej i zajmowania się synem w domu. Po obronie brałam jakieś dorywcze prace, co dało wielką możliwość wyboru i czerpania satysfakcji z tego, że jestem matką. Dużo gorzej było, kiedy musiałam się zdecydować na kolejne macierzyństwo - wtedy już pracowałam. Przerwałam pracę i nie miałam żadnych wątpliwości, żeby taką decyzję podjąć.

Często kiedy rozmawiam dzisiaj z kobietami, patrzącymi na mnie przede wszystkim jako na osobę, która odniosła sukces w życiu zawodowym, i stwierdzam, że moim największym sukcesem jest rodzina, dzieci, wnuki, i że to daje mi niewiarygodną siłę

- one nie chcą w to wierzyć. Macierzyństwo realizowałam w świadomy sposób, wiedziałam, że jeżeli ma się dzieci, to nie po to, żeby je wyhodować, tylko żeby je wychować, żeby im poświęcić dużo czasu, żeby mieć z tego radość.

Kiedy mam długi weekend i zastanawiam się, z którymi wnukami pojedę (wszystkich nie jestem w stanie zabrać, bo to już by było niezłe przedszkole), myślę o tym jako o czymś, co będzie wielką frajdą. Przez nie poznaję świat, którego sama nie mogłabym poznać. One mają tak zupełnie różne widzenie, tak inne oceny, że mnie to też zmusza do zastanowienia się. Pewnie to idealizuję - oczywiście różnie bywało, człowiek jest zniecierpliwiony i ma wszystkiego po dziurki w nosie, zwłaszcza jak dziecko wrzeszczy przez pół nocy, ale jednak jakbym miała to zbilansować, to satysfakcja zdecydowanie przeważa złe strony.

Więc jeżeli miałabym odpowiedzieć na pytanie: kiedy jest dobry czas na macierzyństwo – wtedy, kiedy jesteśmy do tego gotowi. Nie mówię tylko o kobietach, ale mówię również o mężczyznach. Z moich obserwacji, może one nie będą przyjazne dla panów, wynika, że oni dojrzewają do posiadania dzieci, jak mają wnuki. Wtedy potrafią się rzeczywiście nad tym pochylić i mieć z tego satysfakcję. Są oczywiście ograniczenia biologiczne, dlatego też namawiałam i swoją córkę, i swoją synową (skutecznie, bo jedna ma czwórkę, druga trójkę), żeby tego nie odkładały, że nie warto poświęcać radości posiadania dzieci dla kariery zawodowej. Zawsze uważałam i dzisiaj to mówię z jeszcze większym przekonaniem, że szefem projektu, dyrektorem, prezesem można nawet zostać po sześćdziesiątce, bo coraz dłużej żyjemy, coraz dłużej jesteśmy aktywni. Mam ogromną liczbę swoich koleżanek, pracownic, przyjaciółek, które w momencie, kiedy zdecydowały się na dziecko, dowiadywały się, że, niestety, nie mogą go już mieć i teraz strasznie cierpią.

Chciałam mieć dzieci jako młoda matka, bo moi rodzice byli młodzi, nawet za młodzi, ale wiem, jaka to radość, gdy się z dzieckiem gra w piłkę i nie dostaje zadyszki, jak nie ma tego straszego ciężaru odpowiedzialności, do którego człowiek dochodzi, gdy ma już trochę więcej doświadczeń i przez to nie ma tej spontaniczności.

22 maja, poniedziałek

„Casablankę” uważam za najlepszy film, jaki widziałam. Zresztą w plebiscycie na najlepszy scenariusz w historii kina to ona wygrała. Byłam niedawno w Maroku, wprawdzie z bardzo krótką, właściwie jednodniową, wizytą, właśnie w Casablance, więc szykowałam się, nieco naiwnie, na jakieś filmowe wspomnienia. Kiedy przyleciałam, natychmiast chciałam biec do tej kawiarni. I wtedy się okazało, że cały film był kręcony w Hollywood, że nikt z realizatorów nawet przez chwilę nie był w Casablance. Natomiast kilka lat temu, Amerykanka, która poprzednio pracowała w ambasadzie w Maroku, kupiła lokal i urządziła go na wzór kawiarni „U Ricka”. No i tam oczywiście pojechałam.

Lokal jak na filmie, bardzo popularny. Marokańczycy twierdzą, że „Casablanka” więcej zrobiła dla Maroka i tego miasta niż jakiejkolwiek akcje rządowe. Głównie z tym filmem ludzie ją kojarzą i w związku z tym dla tych, którzy przyjeżdżają, ponieważ nie ma tam jakichś większych zabytków, to jeden z magnesów, który ich przyciąga.

Inwestycja kawiarniana okazała się bardzo trafna, bo gdy tam wpadłam na chwilę, był tłum gości i brak wolnych stolików. Sprzedaje się tam oczywiście różne gadżety: plakaty, czapki, koszulki, zdjęcia z filmu i to też jest pewnie niezły biznes.

Casablanca to rzeczywiście białe miasto, bardzo czyste, bardzo bezpieczne. Byłam zaskoczona, bo myśliłyśmy schematami, które potem się nie sprawdzają. Droga z lotniska do miasta - daj Panie Boże, żebyśmy mieli taką w Warszawie! Na targu kupiłam bardzo fajną dmuchawę do kominka. Była tam mnóstwo takich rzeczy, ale trzeba by mieć na to więcej czasu. Koledze pomagałam kupić jakąś szatę zwiewną dla wnuczki. Na ulicy takich się nie widzi, kobiety chodzą z odkrytymi twarzami, nie wszystkie oczywiście, ale spora część, i przeważają stroje europejskie.

Wszyscy chwalą Marrakesz, bo tam jest piękniej i atrakcyjniej turystycznie. Casablanca jest zdecydowanie centrum biznesowym i to dominuje w obrazie miasta, Tak czy inaczej, warto do Maroka pojechać. Polecam świetną kuchnię.

A wracając do filmu... Mam go w wersji oryginalnej i późniejszych, koloryzowanych. Zawsze z przyjemnością oglądam i jak już mam taką chandrę, że nic mi nie pomaga, sięgam po „Casablanke”, mimo że film nie jest znowu taki radosny.

Teraz najwięcej filmów oglądam w samolocie, na długich trasach, kiedy nie mogę spać. Ostatnio oglądałam „In Her Shoes” – polski tytuł bodajże „Siostry” – z których jedna to prawniczka, a druga, grana przez Cameron Diaz, jest kompletnie zwariowana. Shirley MacLaine gra babcię obu. Film świetnie zagrany, życiowy, ale z tych, co to człowiek obejrzy i już nie pamięta.

Wybieram się na „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” Koterskiego. Miałam być na premierze, Marek Kondrat mnie zapraszał, ale nie było mnie akurat w Polsce. Na to bym chciała pójść, choć przy tej pogodzie oglądanie filmów będzie ostatnią rzeczą, którą wybiorę.

2 czerwca, piątek

Znowu o filmie. Głośno jest o „Kodzie da Vinci” według powieści Dana Browna, ale nie wybiorę się - nie sądzę, żeby to był film wart siedzenia w kinie. Książkę przeczytałam z zainteresowaniem. Nie bardzo rozumiem zamieszanie wokół Kodu. Kościół robi tylko filmowi PR i więcej ludzi na niego pójdzie. Pewnie ci, którzy nie znają ani historii Kościoła, ani historii w ogóle, znajdą tam jakieś prawdy, które przyjmą za oczywiste. Nie można traktować fabularnego dzieła jako wykładni doktryny, to po prostu jest niepoważne. Sprawa Opus Dei nie jest czymś nowym i gdyby wokół jego działań było więcej przejrzystości, nie byłoby tylu niedopowiedzeń i wątpliwości. Film obejrzę przy okazji w samolocie. Ale, gdy byłam w Paryżu, widziałem, że tam szykowano w związku z premierą, trasy dla turystów właśnie śladami tej książki. Jeżeli dzięki temu jakaś część publiczności po raz pierwszy trafi do Luwru czy do jakiegoś znanego kościoła, to bardzo dobrze.

A propos... W jedną z minionych sobót w Warszawie była „Noc muzeów” i wybrałam się z dziećmi na zwiedzanie. W Warszawie brak takich propozycji. Po pierwsze, godziny otwarcia muzeów są kretyńskie, po drugie, ludzie lubią wychodzić razem, lubią, gdy im się coś proponuje. I miałam wreszcie wrażenie, że miasto naprawdę żyje. Tłumy się przewalały. Do Muzeum Powstania kolejka była, no, lekko na godzinę, jeśli nie więcej. To samo w Zachęcie i Muzeum Etnograficznym. W efekcie

zaliczyliśmy dwa, bo ponieważ były maluchy, nie chcieliśmy stać w kolejkach. Byliśmy w Muzeum Kolejnictwa, strasznie mi się podobało, nawet nie wiedziałam, że takie jest na dworcu Warszawa Główna. Przepiękne lokomotywy parowe i sporo modeli, w tym m.in. największa lokomotywa świata, oczywiście amerykańska. Też tłum ludzi. Drugie to było Muzeum Ewolucji – też w tłumie, oglądaliśmy głównie dinozaury. Okazuje się, że i w muzealnictwie jesteśmy kompletnym grajdołem. Nie wyobrażam sobie, żeby w tego typu muzeach niczego nie wolno było dotykać, do lokomotywy nie wolno wsiąść. To jest chore. W świecie jest inaczej. Chodzi przecież o to, żeby nie tylko obejrzeć eksponat, ale zobaczyć, jak on pracuje, że te koła porusza para itd. Tam wszystko powinno się ruszać. Gdzie indziej dzieci wszystkiego dotykają, wchodzi pod spód, malują. Do tego zatłoczone sale, nigdzie nie ma klimatyzacji – zgroza! Jak to dalej tak będzie wyglądało, nie trzeba się będzie dziwić, że ludzie wyłącznie będą tam chodzić w „Noc muzeów”. Nie byłam jeszcze w Muzeum Powstania, trzeba się będzie wybrać w ciągu tygodnia, gdy nie będzie tłoku. To podobno jedyne muzeum w Warszawie, które jest dobrze zorganizowane.

Ale jest sympatycznie, bo już jest zielono i wreszcie można wyjść, nie nakładając na siebie nie wiadomo czego. Mimo wszystkiego, co się wokół dzieje, optymistyczniej patrzę na życie.

Byłam w Utrechcie na konferencji, więc przy okazji, w Amsterdamie na lotnisku, kupiłam wielką torbę wszystkich możliwych sadzonek. To ostatni moment, żeby posadzić dalej, mieczyki. No i odbyło się wielkie sadzenie. Zaczął się też już sezon pływacki. Lubię zimną wodę. Wprawdzie chodzę trzy razy w tygodniu na basen, ale tego w ogóle nie da się porównać. Lubię tak wejść do jeziora i wymarznąć w nim porządnie; tak się naharować na działce i wskoczyć do wody, i z powrotem – taki ruch wahadłowy...

środa, 5 lipca

Do piłki nożnej mam stosunek emocjonalny, bo od wczesnych lat i grałam i uważam, że jest to sport, który stanowi najlepszą kombinację strategii, przestrzeni, w której się odbywa, konieczności połączenia tej strategii z jej fizycznym wykonaniem. Koszykówka jest dla mnie za szybka. Za szybko się wszystko dzieje między jednym a drugim koszem i nie ma szans obserwowania rozwoju akcji. Natomiast w piłce nożnej mogę śledzić jakby fabułę. I do tego ta nieprzewidywalność! To daje olbrzymią frajdę.

Ponieważ jestem patriotką, mam wielką przyjemność z kibicowania teraz, gdy w mistrzostwach już nie ma Polaków, bo mogę się skupić na samej grze, nie muszę się martwić czy raczej wstydzę za naszą drużynę.

Jest kilka rzeczy zupełnie zadziwiających. Okazuje się, że futbol to jednak Europa. Inne regiony świata, które tak się dobrze zapowiadały: Australia, Ghana, nawet Brazylia czy Argentyna, kiedy przyszło co do czego, pokazywały, że to jednak bardzo europejski sport. Pierwsze mecze Brazylii i Argentyny były ładne. I to jest piłka, którą bardzo lubię, bo jest finezyjna, ale na końcu za dużo jest w niej techniki, a za mało myślenia, wytrzymałości, tego wszystkiego, co potem pozwala tej techniki użyć.

Wczoraj Włosi pokazali dobre połączenie: myślenie, koncepcja, ale i dużo finezji, wspaniałych podań. Uważam, że sprawiedliwie wygrali. Dzisiaj stawiam na

Portugalię. Do Portugalii mam ogromny sentyment po ostatniej podróży – do ludzi i do kraju... Chociaż Francja... Zidane – to jest coś niewiarygodnego, że w tym wieku można tak grać! Ale nie wiem, na ile Francuzi będą w stanie się tak zmobilizować jak Włosi, więc to będzie duża niespodzianka.

W domu zrobiliśmy zakłady. Jeszcze przed półfinałami. Postawiłam na Włochy. No i zobaczymy, kto zgarnie pulę. Wczoraj były straszne wrzaski... Już dawno takich nie pamiętam! Napięcie w ostatnich minutach - niesamowite. I myśmy razem z Włochami szaleli.

Cały kalendarz jest teraz podporządkowany piłce nożnej. Dzisiaj idę do przyjaciół razem oglądać, na pewno będzie też gorąco, no a w niedzielę będę na wsi. Tam też zawsze się strasznie drzemy. No i szkoda, że to się skończy. Wreszcie było coś - ucieczka od polityki, od codzienności.

Na marginesie... Nie da się zbudować dobrej drużyny piłkarskiej, jeżeli to nie jest długofalowy proces. Nie wierzę, że można zebrać dziesięciu najlepszych zawodników, puścić ich na boisko i oni wszystko wygrają w tego typu mistrzostwach. Każdy z nich gra w innym klubie. Rola trenera jest bardzo trudna. Dostaje tych ludzi, wyjętych z innych środowisk, nie zna przebiegu ich dotychczasowego treningu, nie zna psychicznego przygotowania, osobowości... Złożenie z tego teamu to karkołomne zadanie i trzeba mieć wielkie doświadczenie, żeby mu sprostać i przy tak skomercjalizowanej piłce stworzyć drużynę narodową. Większość myśli tylko o tym, gdzie, kiedy i jak zarobić pieniądze. Czasem odnoszę wrażenie, że mistrzostwa to wielki casting albo targ niewolników. Tam określa się swoją cenę.

Nie podjąłabym się takiego zadania. Lubię pracować z ludźmi zupełnie inaczej - budować pozycję, autorytet, podział odpowiedzialności i potem mieć zaufanie do tego, że oni swoje role zagrają, wiedząc jaki jest scenariusz i mając pewne rzeczy zakodowane. W polskiej piłce trudno mówić o takiej pracy. Dlatego ciężko być dobrym trenerem. A jeszcze przy trudnościach komunikacyjnych trenera Janasa...

Miałam nadzieję, że coś się w naszej piłce nożnej zmieni. Ale piłka jest taka sama jak wszystko wokół: brak kompetencji, brak gry zespołowej, brak lojalności, brak zaufania do siebie, brak wiary w zwycięstwo... Dlaczego w piłce akurat ma być lepiej? To jest smutne...

środa, 30 sierpnia

Swoje pierwsze wrześnie dobrze pamiętam. To było wtedy zawsze wielkie święto, a mundurki były rzeczą absolutnie nie do dyskusji. Więc jak teraz słucham na ten temat różnych dywagacji, to myślę, że dobrze, że wracamy do tych czasów. Chodzę czasami do szkoły swoich wnuków i widzę, jak poprzebierane są dzieci.

Nie mam tendencji do powrotów do przeszłości. Tyle rzeczy jest do zrobienia w przyszłości. Ale pierwsze wrześnie pamiętam – i ze szkoły podstawowej i ze średniej. Poza szkołą nie bardzo mieliśmy wtedy jakieś inne atrakcje, zwłaszcza w tak małym mieście jak Zielona Góra. Nie było ani telewizora ani jakichś organizowanych zajęć. Ale i relacje między uczniami i nauczycielami były wtedy dużo bliższe i, mimo że to były roczniki wyżowe, nie pamiętam takiego poczucia, że będąc w wielkiej grupie, stawałam się niezauważalna.

W szkole średniej, w klasie żeńskiej, mieliśmy mundurki wymyślone przez nas same. Było powiedziane, że mają być popielate, z białymi bluzkami, ale jakie to było zależało od naszej wyobraźni. I nawet jeśli to była spódnica do kolan i żakiet, wymyślałyśmy cuda.

Chodzę teraz na rozpoczęcia roku, tym chętniej, że właściwie co rok kolejny wnuk zaczyna szkołę i widzę, że dzieci, przede wszystkim te warszawskie, tak się dobrze czują w tym świecie, takie są oblatane, tak nie ma dla nich zaskoczeń, że czasami aż przykro. Troszkę inaczej jest na wsi, gdzie też staram się być na otwarciu roku szkolnego. (Teraz mi się chyba nie uda, ale byłam na zakończenie.) Tamte dzieci zupełnie inaczej do podchodzą do szkoły, inne są ich relacje z nauczycielami. Przychodzą wszyscy rodzice, to jest takie prawdziwe święto. Może dlatego lubię te rozpoczęcia i zakończenia, bo to powrót do młodości.

Skończyliśmy już wszyscy swoje wakacje i miałam ogromną radość widząc na tarasie mojego domu całą siódemkę. Kuba był pierwszy raz samodzielnie na obozie sportowym, Maryśka na zuchowym. Widać, jak te dzieciaki w oczach się zmieniają. Wracają po tych trzech, czterech tygodniach, są o ileś tam centymetrów wyższe, dojrzalsze. Na szczęście mamy małego Staśka, więc przyjemność patrzenia na kogoś, kto sięga do kolan, pozostała. Ale i on urośnie. Starzeje się to towarzystwo! Ja tam do siebie tego nie biorę, ale oni się bardzo szybko starzeją...

Wszystkie już pływają. Z mężem robiliśmy z nimi długie dystanse, Kuba już przepływa kilometr, Marysia też. Są oswojone z wodą, nawet czasami za bardzo, i czerpią z tego przyjemność. Tego lata też nie wychodziłam z jeziora. Ten rok był wyjątkowy - nie pamiętam takiej ciepłej wody, była aż za ciepła, a tak niedawno pisałam tu o pierwszej zimnej kąpieli... Wolę zresztą zimniejszą wodę i w ostatnią niedzielę, była już taka, jaką lubię...

Na wsi już jesień. Odleciały żurawie, bociany... Już się uspokoiło, nie ma tych wariackich ptaków, które nie dawały w nocy spać. Wszystko szykuje się do snu zimowego... Bardzo lubię tę porę roku, gdy już zaczyna się robić szaro. Są takie różne odcienie szarości...

środa, 6 września

Takiego zatrzęsienia grzybów dawno nie było! W jedną z minionych niedziel byliśmy już tak zdemoralizowani, że zbieraliśmy tylko małe prawdziwki, większych nam się nie chciało zbierać. Można było kosą ścinać. Nawet przy domu rosły na trawniku. I wszystkie zdrowe, fantastyczne. To taka przyjemność, jak się ich tyle znajduje. Paweł, nawet gdy jechaliśmy samochodem, dostrzegał grzyby: o! prawdziwki! Zawsze był maniakiem zbierania. Jedliśmy je na wszystkie możliwe sposoby: i risotto, i smażone, i ze śmietaną, i na oleju; suszyliśmy, robiliśmy przetwory.

Ale jest też inna wielka przyjemność i nowa jakość, ponieważ chyba ze trzy lata temu zasadziłam drzewa owocowe i po raz pierwszy w tym roku mają masę owoców, tak że już robiłam placek ze swoimi śliwkami. Upiekłam go wieczorem i był tak dobry, że dorośli coś zjedli, a rano wstały dzieciaki i zanim zesłam z góry, już nic nie zostało. Musiało być dobre. Jest dużo jabłek i też coś z nimi trzeba było zrobić. No i śliwki, a przede wszystkim grzyby – prawdziwki, rydze. Przydadzą się zimą. Robiłam też konfiturę z wiśni i ponieważ się leniłam, nie chciało mi się ich drylować,

co było głupim pomysłem, bo potem usiłowałam te pestki wyjmować z gotowych konfitur. Właściwie po przetarciu został taki gęsty syrop, ale smaczny, dzieci zjadają bez problemów.

Tak więc sezon grzybowy wykorzystaliśmy do końca. Dzieci też nauczyły się zbierać, potrafią grzyby rozróżniać i lubią to, ponieważ trafiły na dobry rok. Gdy chodziliśmy jeszcze z naszymi dziećmi, to na Pawła mówiliśmy „Macie coś”, bo on bez przerwy krzyczał: macie coś? macie coś? I teraz było śmiesznie, bo przejęła to jego córka i też woła: macie coś? No i cały czas trwała konkurencja, kto zbierze więcej.

Cóż, wakacje z głowy, prawie ich nie miałam, bo poza weekendami, ze względu na nową pracę, nie mogłam sobie na to pozwolić. Może uda się wyjechać gdzieś w listopadzie i zobaczyć trochę słońca, jak tu się zrobi szaro i ponuro. Ale nie czuję jakoś wielkiego zmęczenia. Te weekendy dają dużo energii. Bardzo lubię być na wsi, te dwa i pół dnia robią mi bardzo dobrze. Boeing też mi służy. Stanowi wyzwanie, które dodaje energii. To wielka korporacja, której na razie się uczę jeszcze. Do tej wiedzy inni dochodzili po kilkadziesiąt lat. Uczę się też pokory, bo czasami człowiek nie ma świadomości, że powie coś tutaj, a nagle gdzieś tam w Chinach są tego efekty. To jest naprawdę bardzo, bardzo skomplikowana układanka. Teraz wyjeżdżam do Stanów na dwa tygodnie i będę oglądała, poznawała różne oddziały i fabryki – będę w Kalifornii i w Oregonie, w Teksasie i w Chicago. No i na pewno zobaczę coś poza tym...

Poprzednio w Waszyngtonie, pierwszy raz od lat, od 1985 roku, byłam na grobie Kennedych, gdzie przybył grób Jacqueline Kennedy. Ten cmentarz zawsze robi duże wrażenie. Zwłaszcza teraz, gdy jest tyle nowych grobów ofiar wojny w Iraku. To nie jest cmentarz historyczny, ciągle odbywają się pogrzeby.

Było nieprzeciętnie gorąco, czterdzieści stopni, w jakąś niedzielę wybrałam się też na przejażdżkę łodzią po Potomaku. No i w Smithsonian zobaczyłam fantastyczną wystawę, między innymi obrazy Caravaggia. Ciekawą również dlatego, że dzięki nowym technologiom można pokazać zmiany, jakim podlegało płótno podczas malowania. Widać, jak artysta zmieniał szczegóły... Amerykanie w ogóle fantastycznie organizują wystawy, robią wszystko, by było jak najbardziej interesująco. I nie ma przy tym takiej nabożnej atmosfery jak u nas, tych kapci. To zachęca do tego, żeby tam chodzić.

13 października, piątek

Dziś piątek, trzynastego... Nie uznaję przesądów, może dlatego, że – o d p u k a ć – nigdy nie zdarzyło się nic takiego, żebym mogła powiedzieć: no tak, wiadomo... Nawet jest odwrotnie. Ponieważ lubię się próbować, więc – wydaje mi się – że czasami robię coś jakby na przekór: ot, polecę w piątek, trzynastego, żeby sprawdzić, że można lecieć, można zaryzykować i nic się nie zdarzy. Że jak czarny kot biegnie, żeby właśnie dać mu przejść drogę... To może taka wiara trochę à rebours...

Z drugiej strony mam przekonanie, że tych wszystkich guseł, wierzeń, zbieranych przez całe lata i wieki, nie wolno do końca lekceważyć. Że za nimi kryje się jakaś mądrość ludowa i nie można powiedzieć, że to tylko śmieszne. Im więcej wiemy, im głębiej wchodzimy w parapsychologię, w różne badania, które pokazują, ile

racjonalności jest w rzeczach nieracjonalnych, tym więcej pokory człowiek nabywa. Więc może się kiedyś okazać, że któregoś dnia jest taki układ planet czy takie promieniowanie (nie wiadomo jeszcze jakie i dlaczego), że nie wolno go zlekceważyć. Ja się z tym próbuję i staram się temu nie podporządkowywać. Choć w wielu rzeczach bez sensu, znajdowano jednak coś racjonalnego, co nawet naukowo można było udowodnić. Z kolei w tylu rzeczach, które powinny mieć sens, tego sensu nie ma...

Widziałam się ostatnio z Markiem Kondratem i rozmawialiśmy o tym, co się w Polsce dzieje. On był świeżo po lekturze Tazbira... Zresztą, jak się czyta książki dotyczące historii Polski, to napawają strachem – tak łatwo trwoniliśmy nasze najlepsze lata, nasze sukcesy. Wszystko jedno, czy to dotyczyło bitwy pod Wiedniem czy pod Grunwaldem. A może mamy to w genach i potrafimy zrobić wszystko, żeby zniszczyć co sami zbudowaliśmy - jak byśmy wszyscy urodzili się w piątek, trzynastego...

Ja staram się takie myśli odganiać, bo z nimi ciężko by było żyć. I wierzę, że można działać pod prąd...

23 października, poniedziałek

Obchodziliśmy Dzień Nauczyciela... To ważne, żeby przy wszystkich zawirowaniach, przy tym, co się dzieje w Ministerstwie Edukacji i w polityce, co dociera przecież do dzieci, nawet jeśli nie wprost, to dzięki radiu i telewizji, dzięki rozmowom rodziców, żeby przy tym wszystkim były wokół nich rzeczy stałe i pewne. Zapominamy, jakie ta względność wszystkiego ma skutki. To nie jest tak, że potem wystarczy kogoś wziąć na lekcję wychowania obywatelskiego i uczyć patriotyzmu. A równocześnie, młody człowiek ma sto pięćdziesiąt przykładów, że dane słowo się nie liczy, że wszystko może być zmienione w ciągu pięciu minut. Dla mnie patriotyzm to odpowiedzialność. A jest jej strasznie mało. Między innymi odpowiedzialność za słowo. I dlatego tak ważne są takie inicjatywy, jak choćby koncerty Cioci Jadzi – Jadwigi Mackiewicz w warszawskiej filharmonii. Wprowadzają minimum porządku i stałości. Od lat wiadomo, że co dwa tygodnie o tej samej porze odbędzie się dobrze przygotowany koncert. Dla mnie to ważniejsze z punktu widzenia wychowania moich wnuków niż wszystkie głoszone hasła. Bo hasła się rozpląną, same dzieci mają zresztą zdrowy stosunek do tej formy przekazu. Wszystko, co buduje codzienny porządek jest sto razy ważniejsze, a boję się, że tego jest coraz mniej. Mniej w domu, mniej we wszystkim, co dzieci otacza. I przyjdzie za to zapłacić.

Nauczyciele mają ogromną rolę do odegrania. Znam szkołę na wsi i szkołę moich wnuków i wiem, że jak trudno realizować program przy takim zderzeniu między tym, co dostają w papierach, co niby mają wykonać, a tym, co jest na zewnątrz. Trudno jest zachować uczciwość wobec siebie i jednocześnie wobec pracodawców. Zawód nauczyciela zawsze był wyzwaniem, a powiedzenie „obyś cudze dzieci uczył” jest szalenie prawdziwe. Teraz wyzwanie jest jeszcze większe. Za te pieniądze, przy tym bałaganie, który jest, i tych sygnałach, które płyną z ministerstwa, i przy tym, co się dzieje w polityce, trzeba mieć niesamowitą determinację, żeby być dobrym nauczycielem. Jedyna nadzieja, że ciągle znajdują się wśród nauczycieli ludzie, którym się chce, którzy robią swoje, nie patrząc na to, co wokół. Co dobre - coraz większą rolę odgrywają w szkołach, także wiejskich, programy unijne. Szkoły zostały włączone, albo same się włączyły, do różnych projektów, dostają na nie pieniądze, nauczyciele jeżdżą do różnych krajów, nawiązują się

międzynarodowe relacje i między nauczycielami i między dziećmi. To otwiera szkoły na świat. I na tym należałoby się skupić. Jak te możliwości, wynikające z tego, że jesteśmy w Unii, a unijne programy edukacyjne są bardzo rozwinięte, u nas wykorzystać.

2 listopada, czwartek

Podczas pobytu w Londynie spotkałam się, jak zwykle, z moją grupą odniesienia tworzoną przez ludzi, którzy wyjechali.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak kluczowe, jeśli chodzi o motywy wyjazdów są rzeczy, które nie mają nic wspólnego z pieniędzmi. Nic. Bo spora grupa takie same pieniądze mogłaby zarobić w Polsce. I dzisiaj, przy niby wysokim bezrobociu, które, moim zdaniem, jest bardzo nadmuchane, jeżeli ktoś chce znaleźć robotę, to naprawdę ją znajdzie. To przedsiębiorcy poszukują pracowników, nie mówiąc już o urzędach

i innych miejscach, gdzie ich brakuje.

Dla młodych, którzy zdecydowali się wyjechać – a jak podają tamtejsze źródła, jest ich 700-800 tysięcy – właśnie bałagan, jaki u nas panuje, i fakt, że gdzieś można znaleźć jakiś ład i porządek, jest coraz ważniejsze przy decyzji o wyjeździe. I co ciekawe: stara Polonia, gdziekolwiek się z nią spotykałam, można się było założyć o duże pieniądze, zawsze miała co najmniej trzy frakcje, wszyscy się między sobą kłócili, każdy na każdego mówił najgorsze rzeczy, i nie było żadnych możliwości, żeby coś zrobić wspólnie. Natomiast młodzi są zupełnie inni. Po pierwsze, trzymają się z daleka od starej Polonii (co też nie jest dobre, bo tworzy nowe podziały), po drugie - potrafią się świetnie zorganizować: słuchałam ich radia w Internecie, profesjonalnie robionego, wydają gazety, mają stowarzyszenia. To jest zupełnie inny świat niż ten, który mamy tutaj. Ale to świadczy o tym, że ci, którzy są dobrze zorganizowani, mają jakiś pomysł na życie, nie chcą go marnować na głupoty, pracują dzisiaj gdzieś indziej. A my tu zostaniemy z tymi, którzy albo nie mają odwagi, albo nie mogą, albo nie potrafią. I miałabym duże wątpliwości, czy zostają tu dlatego, że są patriotami. Jak będzie rzeczywiście tak, że Polacy będą się lepiej organizować na zewnątrz, to stwierdzenie, że społeczeństwo będzie za granicą a rząd w kraju, stanie się prawdą.

Żeby się coś naprawdę zmieniło, musi odejść moje pokolenie, pokolenie ludzi, którzy w sporej części ciągle koncentrują się na rozdrapywaniu przeszłości, na udowadnianiu, kto kiedy miał rację i kto w której szafie ma na kogo papiery. Oni nie są w stanie zaproponować czegoś konstruktywnego.

Podczas mego pobytu w Londynie toczyła się debata parlamentarna. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie u nas takiej sytuacji – choć to inny system – że po jednej stronie niewiele ponadmetrowego stołu stoi Cameron, po drugiej stronie Blair, między nimi toczy się dyskusja, pytania są zadawane z obu stron, często bardzo krytyczne, ludzie tupią albo krzyczą coś (tu akurat chodziło o służbę zdrowia), a oni przecież walczą o władzę... Nie wyobrażam sobie tego, że po jednej stronie stoi Tusk, po drugiej Kaczyński i trwa podobna debata. Tutaj to jest normą. Jest szef partii opozycyjnej i premier, ich wiedza o problemie jest zaskakująca, a sposób, w jaki to się toczy, jest tak profesjonalny, nacechowany taką odpowiedzialnością za słowo, że nie można tego porównać z sytuacją u nas, kiedy jedni drugim tylko przykładają i chodzi tylko o to, kto komu bardziej. Nie wiem, ile trzeba lat, żeby to się zmieniło.

Jedyna nadzieja, że ci ludzie, którzy są teraz w różnych krajach, uznają, że dosyć tego, że jednak chcemy wrócić do siebie, bo to nasze państwo, za które odpowiadamy. Tak jak myśmy w ciągu tych szesnastu lat byli w stanie wykorzystać wiedzę wszystkich, którzy byli gdzieś indziej (choć dziś różnych stypendystów uważa się za podejrzanego towarzystwo). Ale dzięki temu nie musieliśmy uczyć się od zera. Czy i teraz się uda?

9 listopada, czwartek

Mieliśmy wyjazdowe posiedzenie władz Lewiatana w Krakowie. Wieczorem z dużym strachem szłam z innymi do Piwnicy pod Baranami... Przecież to cała historia kabaretu, a teraz, gdy zabrakło Piotra Skrzyneckiego... Okazało się, że niesłusznie. Wyraźnie się już pozbierali. Z jednej strony wciąż tam się czuje Jego ducha, z drugiej to już coś innego. Świetne było połączenie starych kawałków, które wszyscy znamy, choćby piosenki Koniecznego, z aktualnością, ale traktowaną z dystansem. Co jakiś czas wchodził jeden z aktorów i czytał wiadomości, na zasadzie, że skoro Państwo tu kilka godzin jesteście, straciliście kontakt z rzeczywistością, więc my wam to wyrównamy... No i ubaw był rzeczywiście po pachy. Bo jest się z czego pośmiać... Śpiewaliśmy też razem piosenki, zwłaszcza ze Święcickim, zresztą w świetnej formie. To był naprawdę bardzo sympatyczny wieczór. Potem zwiedzaliśmy nowe knajpy. W Krakowie przybywa ich w niewiarygodnym tempie i odkryliśmy jakąś kolejną. Balowaliśmy do czwartej nad ranem!

Pobyt trwał tylko półtora dnia i jak zwykle było za mało czasu, żeby pogadać. Jeszcze wspólna jazda pociągiem dawała jakąś szansę. A było o czym. Choćby po panelu politycznym, który prowadził Aleksander Smolar, a brali w nim udział senator Jarosław Gowin, Tomasz Żukowski i Janusz Majcherek. Miał być jeszcze ks. Boniecki, ale się rozchorował. To są ludzie o dość różnych poglądach, ale dobrze ich posłuchać. Poziom debaty, argumentacja... To podnosiło na duchu, bo nie wszystko musi polegać na praniu się po szczękach i używaniu prymitywnego języka. Wniosek był jeden: jeżeli chodzi o ciąg dalszy, wybory samorządowe mają znaczenie zasadnicze. Kraków też jest przykładem takiej walki. Przecież Majchrowski ma tam największe szanse. Zobaczymy, jak to wypadnie. Druga tura będzie niezwykle ważna.

Panel ekonomiczny prowadził Jerzy Hausner, a brali udział Stanisław Kluza, Katarzyna Zajdel-Kurowska, Andrzej Wojtyła i Maciej Krzak. Wszyscy byli ciekawi Kluzy, bo jest niezbyt znany; mimo że był ministrem, nie funkcjonował w życiu publicznym. To dobry analityk, ale pytanie, na ile będzie umiał podejmować decyzje w nadzorze finansowym. Na końcu najważniejsza jest osobowość. Można sobie załatwić dobrych doradców i ich słuchać. Ważna jest właśnie umiejętność wyciągania wniosków, podejmowania decyzji.

Analiza ekonomiczna pokazywała, że o ile dzisiaj jest dobrze, juto już tak być nie musi. Hausner wywodził taką tezę, z którą nikt nie polemizował, że mówienie, iż jak nic nie robią, to nie szkodzą, nie jest słuszne, bo „nicnierobienie” jest też szkodliwe i zapłacimy za to jakąś cenę. Rynków finansowe, z jednej strony nie przejmują się zgiełkiem, ale z drugiej strony są wahlive w nastrojach. I jak pierwszy inwestor powie, że jednak tutaj stopień ryzyka jest zbyt duży, to jest oczywiście tyle możliwości inwestowania pieniędzy gdzie indziej, że inni natychmiast się zwiną.

No, ale jakby na to nie patrzeć, twarde wskaźniki są dla Polski bardzo dobre.

Natomiast jest faktem, że jednocześnie nie wykorzystujemy swojego dobrego czasu

dla zrobienia tego, co musimy zrobić, przede wszystkim reformy finansów publicznych.

17 listopada, piątek

Brałam udział w panelu w Helsinkach. Zaimponowali mi przywódcy małych krajów nadbałtyckich. Budzą wielki szacunek. Trudno sobie wyobrazić, żeby tam przywódcą został wybrany ktoś, kto nie ma dobrej edukacji, nie zna języków, nie potrafi przygotować strategii, która się wpisuje w to, co się dzieje na świecie. W Polsce mamy do czynienia z negatywnym doborem, w którym zaczynają górować takie cechy, jak właśnie brak strategicznego myślenia, mówienie o projektach przy braku umiejętności ich realizowania, brak konsekwentnej pracy, rzucanie się dzisiaj na jedno, jutro na drugie, brak odpowiedzialności za słowo, szukanie wrogów a nie sojuszników, brak akceptacji dla sukcesu. Bardzo ostrożnie staram się podchodzić do czegoś takiego jak cechy narodowe, ale coś w tym jest. Teraz, gdy mamy taki fantastyczny czas, aby iść do przodu, nie umiemy go wykorzystać.

Gdy słuchałam w Helsinkach wystąpień na temat strategii państw nadbałtyckich w dziedzinie polityki energetycznej, edukacji, ochrony środowiska, widać było, jak wszystko jest przemyślane, policzone, wpisane w kontekst europejski i globalny. W kraju przez ostatni rok nie miałam okazji słyszeć ani razu od naszych kierowników życia publicznego, jak Polska ma wyglądać za lat pięć czy dziesięć. Z kim my idziemy? Z kim nam nie po drodze? Na co stawiamy? Dokopujemy się do tego, co pan Iksiński powiedział w roku 1989, jakby to dla tych, którzy dzisiaj wyjeżdżają i szukają pracy gdzie indziej, miało jakiegokolwiek znaczenie. Naprawdę nie wiemy, co jest ważne.

Przedstawiciele innych krajów mówili w Helsinkach o tym, jakie przygotowują zachęty, by Polacy przyjechali pracować właśnie do nich. To ja się pytam, gdzie są zachęty do tego, żeby oni pozostali tu, w Polsce? Po prostu żalność, żalność. A chodzi nie tylko o pieniądze, ale i o brak jakiegokolwiek perspektywy.

Widać to na rynku pracy - zaczyna być niebezpieczne. Przedsiębiorcy wszędzie sygnalizują, że brak ludzi staje się coraz większym problemem.

Rozmawiałam w pociągu z szefem Warszawy, szalenie odczytanym i z bardzo jasnymi poglądami na wszystko. I on właśnie powiedział, że w ciągu sześciu dni jazdy tym wagonem było dziewięć osób, które miały przyjść do pracy i wszystkie dziewięć zwały. Praca w Warszawie nie wymaga chyba ani jakichś szczególnych umiejętności, ani nie jest bardzo ciężka, ale po prostu dzisiaj jest tyle możliwości zatrudnienia w Polsce i gdzie indziej, że okazuje się, iż przy tym, co on może zapłacić, a pewnie niewiele, nie było chętnych.

Polska dysponuje niewiarygodnym potencjałem. Co roku wypuszczamy na rynek więcej młodych, wykształconych ludzi niż wszystkie kraje Unii Europejskiej razem wzięte. Czy jesteśmy w stanie tak przygotować programy edukacyjne, żeby oni byli kształceni w tych dziedzinach, które są potrzebne? Nie. Toczmy za to wielkie dysputy czy zabierać uczniom komórki. Zawracanie Wisły kijem. Zniszczyliśmy już wszystkie autorytety a dziwimy się, że uczniowie nie szanują nauczycieli. A jak mają szanować, skoro udało nam się wdeptać w ziemię już wszystko – w dziedzinie kultury, polityki, edukacji. To tworzy wielką przestrzeń dla pustych, populistycznych haseł. Oby nie skończyło się na ulicy.

4 grudnia, poniedziałek

W Kostaryce zaskoczyło mnie, że panują tam tak różnorodne warunki klimatyczne. Zaczęliśmy od San José,, a że się spóźniłam, ominęła mnie wycieczka „tramwajem powietrznym” nad baldachimem lasu, skąd najlepiej widać mnogość egzotycznych roślin. Następnego dnia pojechaliśmy rano do Tortuguero na wybrzeżu karaibskim. Droga prowadziła przez Park Narodowy Braulio Carrillo.

Tortuguero jest znane z tego, że tam składają jaja zielone żółwie, które potem wracają z powrotem do morza. To jest rzeczywiście zupełnie niewiarygodne. Byłam dotąd zafascynowana słoniami, ale teraz one ustąpią chyba właśnie żółwiom. Przepływają pięć tysięcy mil, by złożyć jaja w ściśle określonym „swoim” miejscu, bodajże trzy razy w czasie jednego okresu lęgowego. Potem wracają do morza i już się swoim potomstwem nie interesują. Ale dokładnie wiedzą, gdzie mają to zrobić. Zdarza się, iż żółwica wychodzi na brzeg i stwierdziwszy, że to nie tu, wraca do morza. Żółwie wylęgają się mniej więcej po dwóch miesiącach, po wyjściu z jaja jeszcze przez kilka dni zostają w gnieździe, czekając aż zarosną im pęпки, bo rodzą się z nimi jak ludzie. Miałam wyjątkowe szczęście, bo czasami można czekać tydzień i nic nie zobaczyć. Na obserwację składania jaj było już za późno, ale gdy przyszliśmy na plażę, te małe, dopiero co wylęgłe żółwiątka, całym stadkiem, chciałyby się powiedzieć – z obłędem w oczach, zasuwaly do morza. Ale niewiele ich przeżywa – zaledwie kilka na tysiąc.

Ta część kraju jest bardzo biedna, to prawdziwa dżungla. Nie ma dostępu od strony morza, pływa się kanałami, nie ma dróg. Wszystko jeszcze jest dzikie. Małpy skaczą, tukany fruują. Wielkie ilości ptaków, bogactwo kwiatów. Kostaryka jest fantastyczna, ponieważ ma najwyższy stopień zagęszczenia różnych gatunków fauny. Wyłączyliśmy o świcie obserwować ptaki i zwierzęta, wśród nich krokodyle. To był naprawdę dobry początek: znaleźć się w takim dzikim świecie.

W Kostaryce jest sto sześćdziesiąt wulkanów. Pojechaliśmy do jednego, czynnego do dzisiaj (ostatni poważniejszy wybuch miał miejsce w 1966 roku). Okno naszego pokoju hotelowego wychodziło na jego aktywną część. Skutek był taki, że obie noce nie spaliśmy, obserwując fantastyczne fajerwerki wybuchów. Teraz działa system monitorowania, dzięki któremu można wszystko przewidzieć, ale czterdzieści lat temu zginęło kilkaset osób. Kapaliśmy się gorących źródeł, wypełniających wodą naturalne baseny.

Po dwudniowym pobycie pod wulkanem Arenal przenieśliśmy się na wybrzeże Oceanu Spokojnego do Tamaryndo. Tu też szczęście dopisało, tym razem dotyczyło żółwi skórzanych. Poszliśmy nocą na plażę i po dwunastej wyłoniła się z oceanu wielka żółwica, ważąca około czterystu kilo, która jak czołg posuwała się do samego końca plaży, na bezpieczną odległość od fal. Tam oczyściła przestrzeń o 3-4 metrach średnicy i wykopała dziurę do złożenia jaj. Miała jakieś kłopoty z tylną łapą i miejscowi nawet jej w tym pomagali. Żółwie jaja to miękkie piłeczki pingpongowe, których samica składa siedemdziesiąt, osiemdziesiąt. Te na wierzchu są bez zarodków i pełnią jedynie rolę ochronną. Po zniesieniu jaj żółwica zakopuje je i wraca do oceanu, już się nimi nie interesując. Obserwowanie tego z bliska było przeżyciem. Popłynęliśmy też zagłowcem na dzikie plaże. Tam nie ma tak dobrych warunków do nurkowania z samą maską, jak w Egipcie czy na Tahiti, woda nie ma takiej przejrzystości i takich podwodnych bogactw..

Jest też wieś, gdzie iguany tak się rozmnożyły, że jest to teraz jedna z atrakcji turystycznych. Na drzewach prawie nie widać liści, tylko same iguany. Różnorodne: rude, zielone, małe ale i potężne. Przybiegają do ludzi, można je głaskać – mrużą wtedy oczy, prawie jak zwierzęta domowe. Przy moście, po którym jeżdżą ciężarówki, jest niewiarygodny huk, powietrze raczej mało czyste, jest ich najwięcej – uznały, że to jest ich fantastyczne miejsce.

Zrobię też ukłon w stronę mojej przyjaciółki Magdy Środy. Wśród tych wszystkich zwierzątek, które tam oglądaliśmy, był niewiarygodny ptaszek; nazywa się jacana. Rola samiczki ogranicza się jedynie do złożenia jaj, które wysiaduje już samczyk. To on karmi małe, a ona przylatuje od czasu do czasu sprawdzić, jak sobie radzi. Ma pod skrzydełkami twarde wypustki i jeśli on sobie nie radzi, tłucze go nimi. A odlatuje dlatego, że równolegle ma czterech partnerów i wszyscy dla niej pracują. Magdzie na pewno ta historia by się spodobała. Zresztą kostarykańskie feministyczne grupy biorą właśnie nazwy od tego ptaka.

12 grudnia, wtorek

Nawet w Kostaryce nie mogłam uciec od myślenia – o ekonomii, o polityce. Oni w 1992 roku postanowili, że pójdzie ścieżką dotychczasową, to znaczy uprawy bananów, mango i przede wszystkim kawy, najlepszej zresztą na świecie (nie piję kawy, więc nie mogę porównać), która utrzymywała kraj przez długie lata, jest drogą donikąd. Choćby dlatego, że ziemia się tam wyjaławia bardzo prędko. Zresztą wraca się do uprawy kawy starymi metodami – rosła pod drzewami, co wydłużało proces dojrzewania, bo poprzez liście palm nie docierało do niej bezpośrednio słońce. Uprawiana na plantacjach, straciła na jakości. Teraz, gdy sprzedają kawę, to zaznaczają, że rosła, jak kiedyś, pod palmami.

Ale Kostarykańczycy postanowili skorzystać ze swojego największego bogactwa naturalnego – wspaniałej przyrody – i rozwijać turystykę i ekoturystykę. I robią to szalenie konsekwentnie. Mają, jak na tę powierzchnię, największą liczbę parków narodowych. I bardzo ich pilnują. Choć niektóre rzeczy wymykają się spod kontroli i czasami ta komercjalizacja, zwłaszcza na wybrzeżu Pacyfiku, jest nazbyt intensywna i amerykańska. Od strony Karaibów tego tak się nie czuje. I ludzie tam są zupełnie inni, inaczej wyglądają. Tam człowiek jest jeszcze ciągle w środku dżungli.

Na Kostaryce zrezygnowano z armii, jest tylko silna policja. Jak się patrzy, co się dzieje dookoła – w Panamie, w Nikaragui, w Hondurasie – jest to wyspa spokoju. Mają za to ogromny napływ imigrantów i muszą go kontrolować. Ale ci ludzie są potrzebni, bo nie ma kto pracować w rozwijającej się turystyce. Już żyją z niej, bezpośrednio albo pośrednio, całe rodziny. Mówił o tym nasz przewodnik w Tortuguero. On był przewodnikiem, jego brat kierowcą, jego żona pracowała w restauracji swego ojca... A sezon trwa tam cały rok. Myśmy byli niby w porze deszczowej, ale w żaden sposób to nie ograniczało zwiedzania. Zresztą oni tę porę nazywają teraz porą zieloną.

Tak jak postawili na turystykę, tak samo konsekwentnie postawili na edukację. Minister Giertych byłby pewnie zadowolony, gdyby zobaczył tamtejsze przedszkola: wszyscy w mundurkach. I tak do czternastego roku życia. Klasy są najwyższe

jedenastoosobowe. W szkoły tam się rzeczywiście inwestuje. Na edukację przeznaczają się 20 proc. PKB! To daje najniższy wskaźnik analfabetyzmu!

Mają dobrych prezydentów. Nie można pełnić tego urzędu kadencja po kadencji. Można wrócić. I teraz prezydentem jest Óscar Arias Sánchez, który był już wybrany dwadzieścia lat temu, zresztą laureat Pokojowej Nagrody Nobla. Są to ludzie świetnie wykształceni, którzy mają wizję i potrafią ją zrealizować. I czuje się takie poczucie ciągłości. Ale gdy słuchałam poprzedniego prezydenta, opowiadającego o tym, jak zachęcał firmę Intel do przyjazdu do Kostaryki – ponieważ im zależało na nowych technologiach – i w związku z tym zmieniał cały system celny, to pomyślałam, że u nas skończyłoby się to komisją śledczą.

W swoich działaniach są bardzo skuteczni. Mają spory napływ inwestycji i szybko się rozwijający rynek nieruchomości. Stany Zjednoczone niedaleko, ale turyści są z całego świata. I można tu spotkać masę młodych ludzi. Można spać pod gołym niebem, owoców jest w bród, więc ktoś, kto nie potrzebuje specjalnych luksusów, znajdzie wszystko. Kostaryka przypomina przez to trochę hipisowską Kalifornię z lat pięćdziesiątych. Te same klimaty...

Właściwie tam nic innego poza tymi wspaniałymi warunkami nie mają i pomyślałam, że gdybyśmy my, przy tym bogactwie jakie mamy – od gór do morza, potrafili je rozsądnie wykorzystać... Tylko, niestety, działamy bez żadnego planu, bez koncepcji, niszcząc na dodatek środowisko. A Kostaryka pokazuje, jak na tym można budować wielkie bogactwo kraju, bo turystyka ciągnie wszystko inne.

23 grudnia, sobota

W tym miesiącu, przy okazji pobytu w Helsinkach, odwiedziłam także... Świętego Mikołaja. I po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat zdarzyło się, że nawet tam, na dalekiej północy, też nie było śniegu. No i biedny Mikołaj się tym martwił, bo nie da się ukryć, że cała Laponia jest uzależniona od turystyki. I jak on nie może swoimi saniami jeździć, to jest kłopot. Ale śnieg miał podobno jeszcze przed świętami spaść.

Wioska Świętego Mikołaja wygląda tak jak Disneyland, a wszystko bardzo dobrze zorganizowane. Dzieci nie powinny się martwić: wszystkie listy wysłane do Świętego Mikołaja, nawet bez adresu, trafiają tam, do Rovaniemi. Polska ma oddzielny boks. Jeżeli jest adres zwrotny, Mikołaj potwierdza otrzymanie listu.

Przed świętami panuje tam kompletny obłęd. Kolejka do Świętego Mikołaja jest wielka, ale wszyscy karnie stoją, żeby z nim porozmawiać. Wygląda na to, że serce ma wielkie, a kieszenie głębokie, bo stara się spełniać wszystkie życzenia. Ja też przekazałam mu listy, jakie tutaj otrzymałam. Zobaczymy, jakie będą efekty.

Funkcjonowanie w Laponii, w kraju, w którym od rana do wieczora jest mniej lub bardziej ciemno, dla mnie jest szalenie przygnębiające - organizm nie wie, jak sobie z tym poradzić. Podobno tamtejsi mieszkańcy w tym czasie dłużej śpią, dostosowując się do takiej pogody. Największym bogactwem są lasy i zwierzęta. W całej Laponii jest trzysta tysięcy reniferów, które żyją na swobodzie i tylko podczas największych mrozów, poniżej 40° C, są dokarmiane. Nie widziałam żywego łośa, ale zaskoczył mnie ten, pokazany w muzeum przyrodniczym – był większy od konia. W

tej chwili jest ich już tyle, że mimo ogromnych restrykcji dozwolony jest odstrzał. Mimo że nie jadłam mięsa, spróbowałam mięsa renifera i mięsa łosia - było bardzo dobre, chude i smaczne. Nie wiem, skąd się wzięła opinia, że kuchnia fińska jest beznadziejna. Zarówno podczas pobytu w Helsinkach, jak i w Rovaniemi, jedliśmy fantastyczne dania, przyrządzane z wykorzystaniem wielu ziół, grzybów i owoców. Niektóre z nich można dostać u nas, choćby w Ikea, np. cloudsbarries, „owoce w chmurach”, jakby żółte jeżyny. Przywiozłam zrobione z nich dzemy i soki.

Miło było tam pojechać, choć nie było śniegu. Sam widok oświetlonego koła podbiegunowego robi wrażenie.

U nas w domu z Mikołajem, przynoszącym prezenty, spotykamy się tradycyjnie w święta. Sama najchętniej kupuję dla innych książki. No ale wiadomo było skąd przyjechałam, więc i stamtąd musiałam coś przywieźć: dla dziewczyn przytulanki husky, to rzeczywiście piękne psy, a dla chłopaków modele snowmobili, których ja sama zresztą nie cierpię, bo bardzo zanieczyszczają środowisko.

Tradycyjnie już wybieramy świąteczną kolorystykę – w tym roku dekoracje będą wiśniowo-złote, więc dla panów przywiozłam jeszcze krawaty, niektóre nawet grające. Mikołaj będzie zamówiony, bo dzieci są już duże i na domowe przebieranki się nie nabiorą. Ale choćby dla najmłodszego, dwuletniego Stasia trzeba dochować jeszcze tajemnicy. Kuba i tak wie już wszystko najlepiej i niedługo to będziemy jego przebierać... W tym roku potrzymamy ich jeszcze w niepewności. W końcu byłam u prawdziwego Mikołaja i są zdjęcia, które pokazują, że to nie taka kompletna bajka...

czwartek, 4 stycznia 2007 r.

W zeszłym roku rozstałam się z nagrodą NIKE. No może tak nie do końca... Trudno, żebym nadal nie miała emocjonalnego stosunku do niej, to był przecież kawał mojego życia. Nie tylko pieniądze. To jak z dzieckiem... Człowiek urodzi, ono idzie w świat, potem się żeni, niekoniecznie z tym, kogo by człowiek popierał, i dokonuje wyborów, pod którymi niekoniecznie się można podpisać. Ale ta miłość zostaje i nic jej nie zmieni.

W grudniu odbyło się w Polskiej Akademii Nauk spotkanie poświęcone NIKE. Była bardzo ciekawa dyskusja na temat dziesięciolecia nagrody, przyszło sporo ludzi, których znam – z obecnym szefem jury, Henrykiem Berezą – i trochę ludzi, jakby z boku, jak się okazało, również przeciwników nagrody. Co mnie najbardziej zadziwiło, bo na każdy temat można mieć swoją opinię i nie ma powodów, żebyśmy wszyscy uznawali te same wartości, że na końcu się okazało, że dyskusja jest o tym, kto jest za Michnikiem, a kto przeciwko.

Starłam się więc uświadomić, że byłam autorem tej nagrody, zresztą wzorowałam się na brytyjskim Bookersie. Znany był szefem tej firmy, która zajmuje się zresztą produkcją żywności i od kilkudziesięciu lat finansowała nagrodę. I przypadkowo poszłam na wręczanie kolejnej. Booker sprzedał zresztą teraz tę nagrodę komuś innemu uznając, że nie jest za bardzo zgodna z profilem jego firmy (podobnie jak Nicom, który świadczy usługi nie do końca związane z literaturą). Zafascynowało mnie wtedy w tej nagrodzie to, jak ona była budowana, kolejne etapy, które wzbudzały zainteresowanie, sposób wręczania, bardzo publiczny. Wydawało się,

że to może być dobry pomysł, zwłaszcza że oni nosili się z taką ideą, żeby przenieść Bookera do Europy Środkowej i do Rosji.

Uznałam, że w 1996 roku jest już czas, żebyśmy sami taką nagrodę sfinansowali. I to był pomysł, z którym – jak już dostałam wszystkie papiery, wszystko przepracowałam i przygotowałam – poszłam do „Rzeczpospolitej” i zaproponowałam, żeby oni byli w tym partnerem Nicomu. No, ale „Rzepa” nie była zainteresowana, a miałam świadomość, że jeżeli nagroda ma funkcjonować, musi być robiona z jakimś medium, które ma przełożenie na większą publiczność. Wtedy trafiłam do Adama Michnika.

Kiedy dyskusja zrobiła się taka, że to „Gazeta” i Adam Michnik po prostu wymyślili nagrodę, żeby popierać swoje środowisko, usiłowałam pokazać, że może tak nie do końca. Wiem, co było na początku tej nagrody, jaki był pomysł, i na pewno nie miało to nic wspólnego z jakimkolwiek popieraniem swoich. Wpływ fundatorów na to, jakie książki są wybierane, jest kompletnie marginalny. W ciągu tych dziesięciu lat raz się tylko zdarzyło, że całkowicie „podpisałam się” pod werdyktem jury. Zawsze to były inne wybory niezależnego jury... trudno o coś podejrzewać panią profesor Janion, która przez ileś lat była szefową. Książkę do nagrody może zgłosić każdy. W dochodzeniu do dwudziestki bardzo ważna jest rola sekretarza, który przygotowuje listy. Michał Cichy, a potem Marek Radziwon to według mnie osoby wyjątkowej klasy i świadomości, więc nie sądzę, żeby czymś manipulowali. Natomiast, jak z każdym werdyktem dotyczącym dzieł sztuki, opinie mogą być różne. Gdzie wchodzi sprawa gustów, guścików itd., z założenia trzeba przyjmować, że nie będzie zgody na pewne werdykty. Moja odpowiedź zawsze była taka, że jak ktoś ma inny pomysł, to nikt nikomu nie broni ustanowić swojej nagrody.

Co Nike wyróżnia – bo są już w tej chwili nagrody równej przynajmniej wartości: nagroda Gdyni czy Angelusa – i tutaj mogę sobie zasługi przypisywać, bo bardzo nad tym pracowałam – to fakt, iż stała się instytucją. Staralam się, żeby nie było tak, że na dwa tygodnie przed werdyktem szykuje się ludzi i mówi: no to jaką książkę wybieramy? Przecież jak się popatrzy nawet na budżet nagrody (rocznie około 700 tys. zł), z czego 100 tys. stanowi nagrodę. 600 tys. idzie na to wszystko, co jest z nią związane, a co, moim zdaniem, czasami nawet jest ważniejsze. Prace jury, wybór książek, wszystko, co się wokół dzieje i co znowu jest bardzo rygorystycznie określone przez regulamin i różne procedury, których nie można co roku zmieniać. Przecież nawet same uroczystości staraliśmy się, niezależnie od wszystkich niedogodności, organizować zawsze w Teatrze Stanisławowskim, żeby budować tradycję. W Polsce najbardziej brakuje dobrych tradycji. Mamy poczucie, że wszystko jest ulotne, wszystko jest na chwilę, że nie ma ciągłości, nie ma ciągłości w naszych rodzinach, nie ma ciągłości w naszych firmach, w kulturze. I chodziło o to, żeby zacząć to budować. Może się to komuś nie podobać, natomiast tworzenie teorii spiskowej jest nadinterpretacją.

Mam nadzieję, że nagroda spełniła swoją bardzo ważną rolę. W Polsce ciągle jeszcze nakłady książek są za małe, bo mało czytamy. Ale książka, która jest nagradzana za poprzedni rok wydania, ma jakby dwa życia. I trudno nie mieć satysfakcji, jak pierwsze wydanie tomiku Herberta ma 16 tys., a po nagrodzie ma 100 tys. Nawet jeżeli ktoś tylko kupi tę książkę, bo jest napisane: laureatka Nagrody Nike, i położy na półkę. Może otworzy ją, przeczyta jakiś wiersz i powie: o, naprawdę dobry! Nigdy nie czułam się autorem czegoś wyjątkowego, jedyne, bo zawsze się przyznawałam, że był dobry wzorzec brytyjski i nie było potrzeby wymyślania czegoś

innego. Nie będę miała większej radości, jak to, że powstaną jakieś nowe nagrody, jakieś nowe koncepcje, które nasz rynek książki rozbudują i bardziej ją upowszechnią.

Ostatnio miałam wiele satysfakcji, kiedy poszłam do Czułego Barbarzyńcy – to fantastyczne miejsce w Warszawie: dziki tłum ludzi, piją kawę, herbatę, gadają; Staszek Tym przyszedł, wielu znajomych, Kamil Sipowicz. Widać, że to żyje, że jednak jest sporo ludzi, którzy czytają, nie jakieś miliony, ale jednak pełno młodych, studentów. I dlatego twierdzę, że książka mimo wszystko, ma się całkiem nieźle. Zresztą na święta nie kupuję żadnych innych prezentów tylko książki i w Czułym Barbarzyńcy wydałam jakieś straszne pieniądze. Uważam, że od dziecka trzeba uczyć, że to jest wielka wartość i bardzo się cieszę, że moje wnuki lubią czytać i bardzo lubią, jak im się czyta. To dla mnie największa nagroda.

Pożegnałam się z nagrodą, bo wyszłam z Nicomu i nowi zarządzający mają inne koncepcje, a mnie jako prywatnej osoby nie bardzo stać, żeby w takiej skali uczestniczyć w tym przedsięwzięciu. Wierzę, że Agora sobie spokojnie z tym da radę, może będzie szukała jakiegoś partnera, nie wiem, zobaczymy. Cieszę się, że dzięki Nike poznałam wielu znakomitych ludzi, spośród których wymienię prof. Janion. Cały jakby taki świat wokół tego powstał, i to ludzi z różnych bajek, bo zawsze przecież chodziło o to, żeby nie była to nagroda przyznawana w wąskim gronie krytyków, tylko żeby to była nagroda, która przemawia do szerszej publiczności, nawet jeśli przemawia przez sportową atmosferę i to, że do końca nie wiadomo, kto wygrał.

poniedziałek, 29 stycznia

Podsumowując miniony rok powtórzyć wszystko, co mówiłam rok temu. Miałam wtedy sporo obaw i ich lista nie zmniejszyła się. Był to rok różnych niespodzianek, miłych i niemiłych, częściej niemiłych, zmian, dużej niestabilności, rok, który jednocześnie dowiódł, że przedsiębiorcy pewnie lubią chodzić pod wiatr. Kiedy się patrzy na wyniki gospodarcze, okazuje się, że jesteśmy odporni na wszystkie zawirowania. Ale ponieważ mamy trochę dłuższą perspektywę spojrzenia niż ci, którzy rządzą, wobec tego martwimy się tym, co będzie dalej. Bo mamy świadomość, że jeżeli czegoś nie zrobiono w 2006 roku, następny czy jeszcze następny przyniesie skutki tego, czego zaniechaliśmy.

Jeszcze jedno. Ostatnio przychodzą na moją skrzynkę mailową listy dotyczące Partii Kobiet, bo wiadomo – jak kobiety, to ja... Patrzą na tę inicjatywę z dystansem. Niezależnie od tego, jak ważne są tematy związane z kobietami, ich pozycją, równouprawnieniem, nie tylko płacowym, niezależnie od tego, że się sama nimi zajmuję, nie uważam, żeby wyodrębnianie kobiet ze społeczeństwa mogło im służyć. I boję się, że inicjatywa nie przysłuży się autentycznemu rozwiązaniu różnych kwestii, które powinny być rozwiązane. Oczywiście, nie ma sprawy, niech to robią. Ale wpływ na politykę będzie kompletnie marginalny. Boję się, żeby nie posłużyło to raczej obśmianiu sprawy: widzicie... aktorki, piosenkarki, artystki itd.... co one tam wiedzą o prawdziwych problemach kobiet. Do rejestracji można doprowadzić. Ale potem to jest ciężka praca. Kto to będzie robił? Tym bardziej, że z założenia chce być partią

apolityczną. A to nie jest możliwe. Bez aktywnego uczestniczenia w życiu politycznym, bez obecności we wszystkich politycznych gremiach, nic się nie działo. Instytucji i inicjatyw dotyczących spraw kobiet jest bardzo dużo. Ta może być jedną z nich. Ale ciągle chodzi o to, żeby kobiety były właśnie obecne w życiu politycznym, żeby współdecydowały w swoich sprawach, w których decydują przede wszystkim mężczyźni. Ale cuda się zdarzają, więc życzę tym, które się powołaniem partii zajmują, jak najlepiej.

Dla mnie największą rewolucją minionego roku było rozpoczęcie pracy w Boeingu. To duże wyzwanie. Po kilku miesiącach muszę powiedzieć, że ciągle się uczę. To jest jednak szalenie skomplikowana struktura i trzeba mieć sporo pokory, żeby zrozumieć, jak to działa. Boeing to korporacja konserwatywna, taka bardzo amerykańska, prowadząca wiele interesów z rządem i w związku z tym obwarowana ogromną liczbą procedur. Niektóre wydają się nieracjonalne, ale gdy potem człowiek patrzy, jak to działa, okazuje się, że mają one swoje głębokie uzasadnienie. Co jest fascynujące, to niewiarygodna lojalność pracowników. Rzadko się zdarza, że ktoś w tej firmie pracuje mniej niż dwadzieścia, trzydzieści lat, a jeszcze przedtem pracowali tam jego rodzice, a nawet dziadkowie. W coś takiego w Polsce nie istnieje – poczucie ciągłości, budowane przez lata. W związku z tym i relacje w samej firmie są bardzo różne od naszego doświadczenia. Przyglądam się temu z wielkim zainteresowaniem. Na przykład system szkoleń. Wiadomo, jak w Polsce podchodzimy do każdego szkolenia. Te amerykańskie, przygotowane niezwykle profesjonalnie, ale także bardzo życiowo, bez żadnych formułek, są interaktywnie dostępne w Internecie. Można do nich wracać wielokrotnie, poprawiać wynik, bo nie chodzi o szkolenie, ale o zakodowanie zachowań w różnych sytuacjach, od najprostszych do bardzo skomplikowanych. W tym widać lata doświadczeń. Nie mogę się wyzwolić z tej fascynacji. To także wynik wielu podróży – odwiedziłam prawie wszystkie miejsca produkcyjne w Stanach, a jest ich bardzo wiele i naprawdę jest co oglądać. No i szukanie możliwości tutaj: jak można być bardziej aktywnym w naszym regionie.

To w moim życiu zasadnicza zmiana. Myślałam na początku, że to mi uniemożliwi praktycznie funkcjonowanie w Konfederacji, ale okazuje się, że Konfederacja jest już na tyle dojrzała, że to całkiem nieźle wychodzi. Spełniamy oczekiwania naszych członków i gdzie trzeba zajmujemy stanowisko. Nawet jeżeli dzisiaj trochę więcej latam niż poprzednio, nie boję się, że coś się zawali. Ze spokojem patrzę, jak robota jest wykonywana i okazuje się, że wcale nie jestem taka niezbędna. Nie ma żadnych powodów, żeby to w tej chwili zmieniać. Tym bardziej, że teraz akurat jest taki trudny czas, raczej niedobry na zmiany. To jest tylko kwestia, jak długo można pracować po osiemnaście godzin...

Drugie ważne wydarzenie to przeprowadzka – od stycznia mieszkam w Warszawie. Było wokół tego sporo zawirowań, ale jestem bardzo zadowolona. Mąż miał pewne opory, ale też się przekonał i uważa, że to była świetna decyzja. A ja wreszcie mogę powiedzieć, że żyję: przychodzą do mnie goście, mogę pójść do kina, wszędzie jest blisko. Dawniej, zanim dojechałam do Warszawy, miałam już przeczytane gazety, a teraz mogę to zrobić dopiero późnym wieczorem, bo inaczej nie wyrabiam się...

Kolejna rewolucja w rodzinie to fakt, że i moja córka i moja synowa zrezygnowały z pracy, postanawiając więcej czasu poświęcić swoim dzieciom, co mnie bardzo cieszy, bo rzeczywiście te pierwsze lata szkolne są ważne – dbanie o to, by nie

stracić z nimi kontaktu. Ale nie widzę, żeby miały więcej czasu. Skutecznie zapełniły go innymi zajęciami.

Z rzeczy ważnych, które wydarzyły się w rodzinie, muszę jeszcze odnotować tę rozmowę... Przychodzi do mnie Kuba, mój najstarszy wnuk i mówi: „Słuchaj, Nika, mam ważną sprawę do Ciebie”. Pomyślałam: zakochał się może albo jakaś afera z rodzicami... Pytam więc, o co chodzi. On na to: „Wiesz, to jest naprawdę poważna rzecz. Od poniedziałku będę nastolatkiem!”. Strasznie się tym przejął, no a my mamy pierwszego nastolatka w rodzinie.

Zwierzęta są wszystkie zdrowe, a przeprowadzka zmusiła mnie do spacerów z psem i to o bardzo różnych dziwnych porach. Ale oboje z tego mamy frajdę.

W sumie to był dobry rok, także pod kątem zdrowia, bo wszystko inne jest naprawdę rzeczą nabytą i nie mającą większego znaczenia. O tym człowiek dowiaduje się dopiero, kiedy zaczyna chorować. Ale na szczęście wszyscy są zdrowi.

Niestety, dużo mniej byłam w tym roku na wsi. Czymś trzeba było za te zmiany zapłacić. Ale w nowym mieszkaniu tak dobrze się czuję i tyle się w nim dzieje, że potrzeba ucieczki z miasta jest jakby mniejsza. Mimo nowej pracy i nowego mieszkania mam czas na kontakty z dziećmi i wnukami. Nawet jeśli częściej wyjeżdżam, staram się to nadrobić. Priorytety są utrzymane. Bo najważniejsze, żeby nie stracić z pola widzenia tego, co naprawdę istotne...